Nr. 4 (1048). Warszawa, dnia 13 (26) Stycznia 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 4 do 6 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

O BOERACH I Z POWODU BOERÓW.

Zaiste, ten drobny ludek pasterzy i rolników wskrzesił w naszych czasach klasyczne przykłady. Walka ich z Anglikami to nie Maraton, wspaniały, ale samotny wysiłek męztwa, to cały szereg Maratonów, a w ostatnich czasach — szereg Termopilów, gdzie ludzie z śmiercią w sercu walczą już nie o powodzenie, lecz o pewną zasadę moralną. Z trzydziestotysięcznej ich armii zostało 8, mówią nawet — 5 tysięcy, sadyby ich zrównane z ziemią, dobytek zrabowany, stada rozproszone, jedna trzecia narodu w niewoli (wliczając w to kobiety i dzieci zamknięte w słynnem „wojennem schronisku angielskiem“), na każdego małego i dużego Boera przypada obecnie 1½ wyćwiczonego angielskiego żołnierza... Nawet gdyby powstańcy zwyciężyli, z ludu ich zostałby już tylko cień nikły, który rychło zalałaby powódź cudzoziemców-kolonistów, z niecierpliwością czekających, kiedy znowu pozwolą im wtargnąć na złotodajne obszary. A mimo to... walczą, zamiast żyć w spokoju, przedzierzgnięci w angielskich *gentlemenów*. Psychologii Boerów nigdy nie zrozumie „niewolnik z urodzenia“ Arystotelesa i dlatego to mają oni nietylko wśród Anglików tylu... niechętnych. „Czego oni chcą? Czyż urządzenia angielskie, samorząd miast, szpitale, szkoły, uprawa roli, fabryki... nie są lepsze od boerskich? Czyż Anglicy nie są od nich bogatsi i rozumniejsi? Po co oporem swym wywołują niepotrzebny zamęt na świecie, niszczą bogactwa materyalne swoje i wrogie?!.. Gdyby zważyć wystrzelony proch i kule, to okazałoby się, że na każdego Boera... itd.“

Słuszna uwaga: każdy trup boerski drożej kosztuje Anglików, niżby im wypadło wychowanie małego londyńskiego włóczęgi na uczciwego człowieka. Szkoda, że nie drożej! Z całego serca życzymy Anglii, aby żaden żołnierz z ich dwakroć stotysięcznej armii nie wrócił do swej ojczyzny. Byłaby to ciężka, bolesna operacya, ale być może wyłamałaby zęby smokowi „djingoizmu,“ który grozi pożarciem samej Anglii i zamieni ją z czasem na Rzym Kaliguli.

Los sprzyjał Boerom, że przed zgonem stali się obrońcami nieskończenie ważnego dla ludzkości czynnika — rozmaitości jej gatunków i odmian. Tworząc je z niezwykłym wysiłkiem i cierpieniem, przyroda wlała w ich przedstawicieli instynkt głębokiego przywiązania do cech własnych i nauczyła ich przekładać je nad wszelkie dobra materyalne i nawet nad życie. I tak być musiało, gdyż zagłada ich poważnie grozi bytowaniu ludzkości. Są to niby nieskończenie rozmaite, delikatne, doskonale przystosowane do różnorodnych warunków i środowisk narządy człowieczeństwa, którymi ono oplata kulę ziemską i zdobywa ją dla najwyższego wykwitu życia — dla świadomości. Niwelacya byłaby strasznem bankructwem ludzkości. Róża jest bez zaprzeczenia pięknym kwiatem, ale jakże ubogim wydałby się nam ogród zasiany wyłącznie różami! Każdy gatunek, rodzaj i odmiana ludzka ma pewne duchowe odcienie, których wartości nigdy nie możemy zanadto przecenić. W nieznanych nam warunkach, w szeregu zmian fizycznych lub moralnych, których wprost przewidzieć nie jesteśmy w stanie, być może, iż właśnie z jakiegoś nieskończenie marnego obecnie plemienia, strzeli nowe drzewo społeczeństwa na miejsce dębów starych i umierających. Dlatego myśliciel z głębokim smutkiem dostrzega zagłady najlichszego z ludzkich gatunków, choćby to byli ludożercy z Ziemi Ognistej. Nie trzeba ich niszczyć, lecz dźwignąć! Stańmy na chwilę na stanowisku Egipcyanina z czasów Ramzesa II i wytężonym wzrokiem spojrzyjmy w przyszłość daleką. Oto, rudobrody barbarzyńca, zamieszkujący jaskinie Albionu, dziki, ciemny, niechlujny, używający narzędzi kamiennych i okrywający się skórami zwierząt, owłada tronem świata!.. Cud, a raczej mara nie do uwierzenia!... Uderzmy się w piersi i przyznajmy otwarcie: czy wiemy więcej o ludach gnieżdżących się w szczelinach Himalajów, ukrywających się w puszczach Afryki lub zamieszkujących podziemia Australii *), niż wiedział starożytny Egipcyanin o spółczesnych mu „Anglikach“?! I czy pogarda ówczesnego Egipcyanina dla ludów „białych“ nie była równie uzasadnioną, jak nasza dla ludów dzikich? A ponieważ nie wiemy nic, to już nie przez dobroć nawet, która jest orężem wielkich, lecz przez proste wyrachowanie, które jest rozumem małych, powinniśmy pieczołowicie szczędzić wszelkie ludzkości odmiany i tych, co je niszczą, uważać za szkodników w ogrodach życia, choćby to były wspaniałe okazy w rodzaju lwów i słoniów... Być może, że nie w Niemczech, nie w Anglii i Francyi, ale gdzieś wśród niewiadomego nam ludu kryje się zarodek przyszłego „nadczłowieka,“ *rzeczywistego* „nadczłowieka,“ który winien być zlewem mędrca, bohatera i... anioła. Z tego względu jesteśmy przeciwni wszelkim najwspanialszym kulturom, najcudowniejszym wynalazkom, najwytworniejszym dziełom sztuki, jeżeli te powstają na trupach narodów...

Wacław Sieroszewski.

Tydzień polityczny. Warunki pokoju jako *ultimatum*, w nocie zbiorowej, ale rozdzielonej na pojedyncze, czekały na przyjęcie przez dwór chiński w Si ngan fu od 22 lub 23 grudnia do 16 stycznia: w tym dniu nadszedł edykt cesarski, upoważniający Czynga i Li-Hung-Czanga do przyłożenia pieczęci i podpisów. Powiodło się więc Europie zupełnie. Rząd chiński prosi tylko o pewne ulgi: termin dla zakazu broni dowożonej, obsadzenie Taku przez Europejczyków zamiast zburzenia i oznaczenie sił i pozycyi załóg poselskich w Pekinie. Rokowa-

*) Paradoksalny ten ze wszech miar ląd gotuje nowe niespodzianki geografom i antropologom. W południowo-zachodniej jego części odkryto niedawno obszerny fantastyczny kraj podziemny, pełen jezior głębokich, źródeł i rzek, a pokryty z wierzchu pustynią jałową i suchą. W dzienniku pewnego telegrafisty, zmarłego z wycieńczenia i głodu, którego zwłoki znaleziono w 1889 r. na linii telegraficznej portu Darwina, są wzmianki o podobnem odkryciu oraz opisane są pod nazwą „Inkarra“ dziwne ludzkie istoty, zamieszkujące ten kraj podziemny.

nia zajmą wiele jeszcze czasu, zgotują niejedną niespodziankę, ale ostatecznie — pokój już jest. Wyprawy Walderseego w Czyli uważać potrzeba za czysto policyjne, policyjno-kryminalne — niewielki zaszczyt dla feldmarszałka i generalissimusa. Niemcy, zaskoczeni d. 3 b. m. pod Lin-ping-fu, doczekali się pomocy i sprawili Chińczykom rzeź srogą. Do Berlina jedzie książę Chun, krewny dworu, aby przebłagać cesarza niemieckiego, nieprzebłaganego jeszcze listem cesarza chińskiego. Chun nie wahał się nauczyć Walderseego pojmowania bokserstwa jako patryotyzmu chińskiego. Przeciwko warunkom zaprotestował tylko jeden wicekról, Czang-czytung. Dygnitarza Sian-tu-jech-siena Europejczycy stracili. W Pekinie stan oblężenia, rozmaite zakazy i nakazy. Tymczasem poselstwo rosyjskie rozdaje ludności głodnej ryż i jedna sobie popularność. Mandżurya zachodnia z Mugdenem na mocy układu z gener. chińskim Szengiem z grudnia przeszła pod protektorat Rosyi, przypominający układ z Bucharyą: ogólne rozzbrojenie; pozostawiony oddział wojska chińskiego ma pilnować spokojności i odpowiadać za nią.

Boerowie przedzierają się od początku roku do kraju Przylądkowego i niepokoją Anglików. Nie ma to znaczenia, bo Boerzy przylądkowi nie spieszą do braci. Cały kraj w stanie oblężenia z wyjątkiem ośmiu okręgów. Utarczki nie ustają i w Oranii - Transwalu; pod Naauwport na Przylądku była znaczniejsza. Boerowie uszkodzili część drogi do Delagoa-bay. W Bloemfontein z samych Boerów komisya pokoju chce już zakończyć walkę. Kitchener żąda nowych 25,000 (byłoby zatem już ok. 300,000 Anglików uruchomionych przeciwko garsteczce ludzi wolnych). W Anglii zbierają mu 500 yeomanry. Anglicy zabrali od początku 15,000 zgórą Boerów do niewoli.

D. 8 zagajono w Berlinie aż dwa sejmy: pruski i niemiecki. W pruskim najważniejszą sprawą jest wznowiony projekt kanału Elba-Ren, z dodatkiem kanału Odra-Wisła, Sprea-Odra i takiego uspławnienia Odry, któreby niemal zamienić musiało Berlin na wewnętrzne miasto portowe. Ogromne, do 400 mil. dochodzące koszty dadzą zarobek wielkiemu przemysłowi. Bülow d. 9 b. m. gorąco bronił projektu, nawet wyłożył cały plan gospodarczy po za kanałami.

Wybory w Austryi skończyły się d. 18 b. m. Niemcy Schonerera i Wolffa spotężnieli, do 8-u przybyło 13-u. Niemiectwo, zamiast wpływać w antysemityzm, wtłoczyło się w radykalizm, zmierzający do zupełnego zerwania z Austryą. Antysemici utracili 6 mandatów. Katolicy niemieccy wyszczerbieni. Dipauli upadł, Ebenchoch pobity. Socyaliści z 15 spadli na 10. Niemieckie stronnictwo ludowe wzrosło do 49 (41). Koło będzie miało 60, o 5 więcej niż dotychczas: ale na wyborach Stojałowski wzrósł; demokraci zagrożeni rozpadnięciem się; ludzie tacy jak Rotowski, Lewicki, Sokołowski August, nie wejdą już do parlamentu. Przed Koło wystąpiła pokusa: zerwania z Czechami a trzymania z Niemcami. Młodoczesi utracili 8 mandatów. Prawica już nie ma większości — niema już i samej prawicy. Schönerer jawnie już głosi oderwanie krain niemieckich od Austryi. Jedynem ocalemem jest, nie stary paragraf, ale nowa konstytucya.

Izba deputowanych we Francyi od 15 b. m. roztrząsa projekt o stowarzyszeniach, wyszły z komisyi. Są w nim i stowarzyszenia zakonne, za któremi ujął się papież w liście do kard. Richarda, arcyb. Paryża. Socyaliści wnoszą konfiskatę majątków duchownych.

W Osborne na Wight zmarła d. 22 wieczorem królowa angielska. Ks. Walii został Edwardem VII.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WALKA Z GRUŹLICĄ

W prasie naszej, w ostatnich czasach, piszą dużo o zorganizowaniu walki z gruźlicą, a prąd ten znalazł najwymowniejszy swój wyraz w broszurze prof. Ignacego Baranowskiego: „Walka z gruźlicą, jako zadanie narodowo-społeczne.“ I w tym razie jak w wielu innych, jesteśmy naśladowcami tego, co powstało i pomyślnie rozwija się w krajach przodujących. Odkąd bliżej zbadano naturę suchot, jako choroby spowodowanej przez jednokomórkowe organizmy, uwaga hygienistów została skierowaną na zapobieżenie możności zakażenia.

Pojawiają się projekty wyodrębniania chorych, a rzecz doszła do tego, że w Kalifornii, dokąd wysyłają chorych z różnych stanów Związku północno-amerykańskiego, dają się słyszeć głosy, domagające się zamknięcia granicy przed suchotnikami z innych stanów, gdyż spostrzeżono, iż skutkiem zarazy liczba suchotników w samej Kalifornii wzmogła się w znacznym stopniu.

Powstają sanatorya, specyalne przytułki, położone w zdrowej okolicy, w klimacie, odpowiadającym klimatowi, do którego chorzy przyzwyczaili się w ciągu swego życia, dla pielęgnowania osób, dotkniętych rozpatrywaną chorobą, a usiłowania ludzi dobrej woli zmierzają ku temu, ażeby te instytucye rozpowszechnić jak najliczniej w kraju i umożliwić w nich bezpłatny pobyt najszerszym kołom współziomków.

Toczą się obrady nad zapobieganiem szerzeniu się perlicy wśród bydła rogatego, jednego z poważniejszych źródeł gruźlicy u ludzi i ukazują się rozporządzenia, nakazujące rewizyę mięsa i mleka, dotyczące hygieny bydła itd.

W sprawie walki z gruźlicą wychodzą specyalne czasopisma, odbywają się zjazdy, a przed dwoma laty w porze letniej obradował pierwszy międzynarodowy kongres w Berlinie nad tym przedmiotem.

Ruch, organizujący walkę z gruźlicą, posiada dość poważne rozmiary, a od lat paru, z każdym rokiem, wzrasta w siłę. To zainteresowanie się suchotami wypływa poniekąd ze spustoszeń, jakie gruźlica sprawia w społeczeństwach tegoczesnych, rozstających się masowo z pracą na świeżem powietrzu, a zamykających setki tysięcy i nawet miliony głów w ciasnych warsztatach i dusznych murach miejskich. Suchoty są plagą, właściwą cywilizacyi wielkomiejskiej. Według obliczeń, przytoczonych przez prof. Ign. Baranowskiego, wśród ogółu osób, zmarłych w Paryżu w r. 1897, gruźlica zabrała aż czwartą część, procent zaś śmiertelności dosięga o wiele wyższej cyfry dla osób, znajdujących się w pełni sił fizycznych i umysłowych, bo pomiędzy dwudziestym a czterdziestym rokiem życia: dla tej kategoryi osób wynosi on w Paryżu aż 60% całego ogółu wypadków śmierci. Według statystyki niemieckiej każdy siódmy umierający kończy dni swoje na gruźlicę, sprawozdania zaś zakładów anatomicznych stwierdzają, iż każdy trzeci zmarły nosi w sobie zarody nierozwiniętej jeszcze tej choroby albo ślady przebytej. „Fakty tego rodzaju, raz stwierdzone, raz ujawnione, musiały wywrzeć wstrząsające wrażenie, pobudzić narody, świadome celu i zadań życia społecznego, do podjęcia walki, do wytężenia i skupienia sił wszelkich w celach samoobrony i samopomocy, mianowicie od chwili, gdy nabrano przekonania, że z gruźlicą skutecznie walczyć można!“ W tej walce wzięły liczny udział osoby zamożne, nieraz rzadko spostrzegane na niwie pracy społecznej. W tym razie działała pewna specyalna pobudka. Wrażliwość nasza na cudze cierpienia i krzywdy znajduje się w pewnym dość ścisłym związku z naszem własnem doświadczeniem i ze wzorami otoczenia bez-

---

2)

Gustaw Daniłowski.

Przerwana chwila.

(Dokończenie). *)

Wózek potoczył się szybciej, zadudniły koła po wyboistym bruku, i Jerzy znalazł się w ognisku życia miasteczka — na rynku.

W jednej chwili, jak stado wróbli na rzuconą kruszynę, rzuciła się ku wózkowi banda chałaciarzy, ale kilka zdań, szybko wyrzeczonych z kozła, uspokoiło jej zapędy.

Kuba, Kuba! rozległy się nosowe wołania. I z gospody, przed którą właśnie stali, wypadł, jakby wypchnięty obcą siłą, brudny, gamajdowaty i rozczochrany wyrostek. Ślamazarnie zdjął rzeczy i wprowadził Jerzego do niewielkiego, odrapanego pokoju, tak zwanej stancyi dla porządniejszych gości.

*) Ciąg dalszy patrz nr. 2.

Niebawem zjawił się z propozycyą obiadu sam gospodarz, pękaty mieszczanin z twarzą, jak krwawnik, i mistyczno-liliowym nosem, stwierdzającym, że „spiritus flat, ubi vult.“ Barszcz, kotlety i piwo — to wszystko, co miało być „w ten moment,“ kazało dość długo czekać na siebie, to też Jerzy nietylko zdążył się umyć i zauważyć, że go kości bolą, ale nabrał w dodatku wilczego apetytu. Ostatnia okoliczność, jak się okazało, była niezbędną i najlepszą przyprawą do słynnych obiadów pana Piwowońskiego. Wchłonięte jadło, kwaskowate piwo, oraz powietrze, którego się Jerzy przez drogę nałykał, tak go usposobiły do snu, że, ledwie zdążył wyciągnąć się na kulawej kanapie i przytknąć głowę do poduszki, pogrążył się w słodkiej nirwanie.

Kiedy się zerwał przekonał się, że poobiednia drzemka trwała kilka godzin, nie żałował jednak przespanego czasu, czując, że ten sen nietylko go odświeżył fizycznie, ale jakby odmienił duchowo. Przebrał się z pośpiechem i, chwyciwszy laskę, puścił się na chybił trafił w kierunku wiejskich chat.

Lud Wimirza musiał się mieć dostatnio: obejścia były obszerne, zabudowania porządne, chaty czyste, kryte przeważnie gontami, rzadko gdzie słomą. Z tyła za obejściami ciągnęły się sady owocowe, a od strony drogi widniały zaopatrzone w furtki chruściane płoty, z po za których wyzierały krzaki czeremchy i bzu. Bzy kwitły jeszcze, wprost uginając się pod ciężarem białych i ciemno - niebieskich gron kwiatów. W jednem miejscu okwiecona gałąź tak silnie przegięła się za ogrodzenie, że Jerzy, nie mogąc oprzeć się pokusie, uszczknął jedną kitę. Zadrżał cały krzak i oblał go wilgotnym pyłem silnego zapachu.

— Cudowny prysznic, ale ładnie zaczynam — od rabunku... — uśmiechnął się Jerzy, oglądając się mimowoli, przyczem dostrzegł na przyźbie zgarbioną postać starego chłopa.

Chłop, siedząc, ćmił fajkę i zdawał się nie spostrzegać Jerzego, któremu ta bronzowa twarz, prawie czarna na zgięciach obfitych zmarszczków, wydała się niezwykle pociągającą i jakby znajomą.

— Ślicznie tu u was, gospodarzu!—rzekł, zbliżając się Jerzy.

— A, niezgorzej, chwała Bogu — odparł obojętnie starzec, podnosząc oczy koloru spłowiałego błękitu, dziwne, jakby już nie z tego świata, i zaczął znów bladomi, wąz-

pośredniego. Suchoty należą do chorób, wobec których wrażliwość warstw wyższych jest dość wyrobioną, a zainteresowanie dość znaczne. Ci sami ludzie, którzy obojętnie spoglądają na nędzę, srożącą się tuż pod ich bokiem, marzą o sanatoryach dla warstw ubogich, naturalnie do chwili, dopóki idea ta nie przybierze charakteru obowiązkowości ogólno-społecznej i nie spadnie na nich zbyt ciężkiem brzemieniem podatkowem, krzątają się nad urzeczywistnieniem środków zapobiegawczych, powstrzymujących rozpowszechnianie się zarazków w pokarmach itd. Ruch, organizujący w Europie walkę z suchotami, posiada dotychczas charakter klasowy — nie w tem znaczeniu, ażeby miał na widoku jedynie lub przeważnie interes pewnej tylko warstwy, ale ponieważ znalazł głównie i niemal wyłącznie oparcie w uczuciach humanitarnych wyższych klas narodu. Od tej liberyi wyzwala się on dopiero tam, gdzie, jak w Kanadzie, gminy zaczynają zakładać sanatorya dla suchotników, lub, jak w Niemczech, nad ich wzniesieniem krzątać się zaczynają organizacye państwowe ubezpieczenia robotników na wypadek choroby.

Zresztą z jakichkolwiek powstała pobudek, walka z gruźlicą należy do bardzo dodatnich objawów życia kulturalnego ostatnich lat kilku. Świadomość o pochodzeniu suchot przedostaje się do szerokich kół ludności i stwarza tam zwyczaj racyonalszego obejścia z chorymi; państwo, pod naciskiem poglądu, iż powinno stać się olbrzymią instytucyą ubezpieczenia i pomocy społecznej, organizuje służbę sanitarną przeciw gruźlicy, rozciąga kontrolę nad zdrowiem krów dojnych i stanem mięsa, a urządzenia odpowiednie, lubo nie zawsze wywiązują się sumiennie ze swoich obowiązków, jednak coś robią i, co najgłówniejsza, stwarzają w życiu poczucie o konieczności hygieny społecznej i kiedyś w przyszłości wydadzą sowite owoce; powstają sanatorya gminne i dobroczynne, nawet projekty kolonij robotniczych rolnych dla suchotników, a kasy ubezpieczenia dla chorych robotników dochodzą do przeświadczenia, iż jest to może najtańszy sposób pomocy choremu suchotnikowi; lekarze wreszcie zostają wyrwani ze swej wiekowej rutyny, kiedy widzieli tylko chore pojedyncze osoby, a skierowani na drogę działalności społeczno-hygienicznej, innemi słowy zaczynają nakoniec spostrzegać „zadania społeczno-narodowe“ w swoim zawodzie lekarskim. Działanie tych urządzeń i napięcie wskazanych objawów nie grzeszą dotychczas zbyt wielką skutecznością, ale samo narzędzie walki z gruźlicą doznaje nieustającego doskonalenia i kiedyś, w przyszłości, z dzisiejszych instytucyj zarodkowych powstaną zwarte a wydajniejsze posterunki hygieny społecznej. Prąd, którego jesteśmy świadkami, jest nietyle doniosłym ze względu na sprawność swoją w teraźniejszości, ile że zakłada fundamenty rozgałęzionych wzorów i stosunków.

Ani chwili nie chcąc kogoś odwodzić od uczestniczenia w powstającej organizacyi walki z gruźlicą, pragnęlibyśmy jednak wskazać na jej wady i wogóle słabe strony. Głosy w rodzaju naszego dały się słyszeć i na zjeździe międzynarodowym berlińskim. Rzecz zaś polega na tem, że suchoty odznaczają się osobliwie wybitnym charakterem klasowym, tj. szerzą się zwłaszcza wśród pewnych warstw społeczeństwa dzisiejszego.

Paryż przedstawia pod tym względem obraz bardzo jaskrawy. Na 10,000 mieszkańców dzielnic najzamożniejszych gruźlica pożera 20 osób; na tę samą liczbę głów w częściach miasta, mniej zamożnych, na suchoty przypada 35 wypadków śmierci, cyfra ta podnosi się do 53 w dzielnicach robotniczych i wreszcie do 65 na ulicach, zamieszkałych przez ludność najuboższą.

Statystyka niemieckiego ubezpieczenia chorych i inwalidów rozporządza pokrewnymi faktami. Obfitość wypadków śmierci, spowodowanej przez gruźlicę, jest tem częstszą, im rozpatrywana kategorya osób posiada mniejszy dochód roczny. „Suchoty płucne są tem częstsze, im położenie materyalne gorsze, im dochód pieniężny niższy.“

I jest to rzeczą zgoła zrozumiałą. Zarazek gruźliczy, ażeby zdołał rozwinąć się w organizmie ludzkim, wymaga, ażeby otoczenie, w jakiem człowiek przebywa, sprzyjało jego rozwielmożnieniu się. A w życiu warstw uboższych na każdym kroku spotykamy jak najfatalniejsze warunki. Praca w przepełnionych, dusznych warsztatach, zdala od ożywczych promieni słońca, niekiedy w miejscach niedostatecznie opalanych, nietylko stwarza możność zakażenia się, ale nadto osłabia organizm i pozbawia go siły odpornej. Mieszkania warstw niższych niekiedy, swoją niezdrowotnością, nietylko nie ustępują warsztatom, ale nawet je przewyższają: prawodawstwo, które zaczęło wglądać w sanitarne urządzenie fabryk, zaledwie robi pierwsze kroki w kierunku rozszerzenia zasad, którym w tamtym zakresie hołduje, na kamieniczników. Architektura domów wielkomiejskich, owych studzien, dokąd nie przenika niekiedy słońce i nad którymi unoszą się pył i niezdrowe wonie, a nawet całe urządzenie wielkich miast przedstawiają olbrzymi rozsadnik gruźlicy. Wreszcie dodajmy stosunkowo nędzne, a niekiedy zupełnie liche odżywianie się całych warstw, a znowu zrozumiemy, iż wycieńczony organizm nie może trwale opierać się zarazkowi gruźlicy. Suchoty są chorobą przeważnie ludności uboższej, a nawet specyalnie tych jej grup, które zostały zaprzężone w rydwan nowoczesnego industryalizmu, bo proletaryat wiejski w warunkach bytu swego posiada więcej widoków oparcia się chorobie.

Wobec tego sanatorya, inspekcya mleko i mięsa i wogóle środki, pospolicie doradzane przeciw rozpowszechnianiu się gruźlicy, posiadają przypisywaną im doniosłość tylko w tych krajach, gdzie zamożność warstwy pracującej jest względnie znaczną, a warunki jej bytu, jak mieszkania, długość pracy itd., odznaczają się wyższym poziomem komfortu i wogóle kultury. W takiem właśnie położeniu znajdują się kolonie, a więc Australia, Kanada, oraz znaczna część Stanów Zjednoczonych. Walka z gruźlicą może tam wydać bardzo znaczne rezultaty, pomimo iż użytkuje jedynie z pospolitych środków. Sanatorya przybrały tam właśnie najszerszy charakter, w tem znaczeniu, iż do walki staje nie garstka filantropów z środkami, zebranymi ze składek prywatnych, lecz organizacya państwowa. Już zaznaczyliśmy, iż w Kanadzie gminy zakładają sanatorya za własne fundusze. Ale i tam dają się słyszeć głosy, domagające się uwzględnienia i innych sposobów walki. Mamy pod ręką pracę pewnego Amerykanina, w której oświadcza, iż władze powinny zupełnie usunąć tak zwane *tenement-houses*, duże koszary mieszkalne w rodzaju naszych kamienic, a tylko pozwalać na budowę niskich, przedzielonych pewną próżną przestrzenią domków. Ruch, organizujący walkę z gruźlicą w Kanadzie lub Ameryce Północnej, odznacza się zaiste charakterem narodowym i społecznym, bo może ufać, iż, wobec wysokiego poziomu zamożności nawet w warstwach pracujących, z pomocą stosowanych środków uda mu się podciąć złe w jego podstawie. Ale rzeczy przybierają zgoła inny obrót, gdy przechodzimy do krajów przemysłowych,

---

kiemi wargami ssać krótki, zczerniały cybuszek.

Zapanowała dłuższa chwila milczenia.

Jerzy, muskając się kitą bzu po twarzy, wpatrywał się w chłopa i jednocześnie zamyślił się nad jakimś majakiem wspomnienia, które przemknęło tak szybko, że nie zdołał go pochwycić, natomiast uczuł potrzebę jeszcze raz usłyszeć ten trochę drżący głos przewlekły i miły — więc spytał:

— Chciałbym tu u was, w Wimierzu, nająć mieszkanie na całe lato, tak dwa pokoje z kuchnią, ale nie wiem gdzie?....

Chłop wytrząsnął fajeczkę, zamyślił się na chwilę, jakby coś rozważał, poczem, poruszywszy parę razy ustami, rzekł, wskazując ręką:

— To pójdzie pan prosto do dróżki, a potem k'sobie, koło mogiły, tu, musi być, są...

— Koło jakiej mogiły?

— Ano—odparł, jakby zdziwiony chłop, podnosząc mętne oczy — koło tej... co to w mór ludzi chowali... Tyle ci narodu zginęło, a nic tego nie znać, jeszcze chyba więcej przybyło... Bóg łaskaw!...

A że właśnie jęknął dzwon na Anioł Pański, chłop zdjął czapkę, odsłaniając łysą czaszkę, z pasmami włosów długich i białych, jak kądziel, i jął mruczeć pacierze.

— Dziękuję! — szepnął Jerzy, czując, że go ogarnia niewytłomaczone wzruszenie, że prądy myśli bezwiednych, jak rzeki podziemne, nurtują jego wnętrze. Nie umiał sobie zdać sprawy z tych poczuć, a ilekroć próbował je określić, wsiąkały w głębsze, nieprzejrzyste pokłady jego jestestwa. Nie mógł zresztą skupić się dostatecznie i nie chciał, doświadczał dziwnego rozproszenia myśli i rozlewności uczuć, i sprawiało mu to niewymownie subtelną przyjemność i jakby ulgę.

Szedł długo wprost przed siebie w takim stanie, jakby nie on sam, ale coś myślało w nim i o nim, przypomniał zaś sobie, że ma szukać mieszkania dopiero wtenczas, gdy znalazł się nad brzegami rzeki.

— Musiałem minąć dróżkę, wartoby zawrócić — postanowił i siadł na belce i począł błądzić oczyma po powierzchniach wody.

Słońce się miało już ku zachodowi, więc główny nurt rzeki wydawał się potokiem brudnego złota i wyraźnie się odcinał od płytkich płaszczyzn rozlewu wód, które wyglądały jak lekko karbowane blachy srebrne.

Na płowy piasek co chwila wpadała pieniąca się fala drobna i cofała się nazad w milczeniu. Pusto było, jak okiem zajrzeć, i bardzo cicho. Czasem tylko pokłóciły się rybitwy w powietrzu i, niby obrażone, rozlatywały się w różnych kierunkach, jak drobne żaglowce. To znów kulon ze smętnym świstem raz wraz przelatywał nizko nad wodą z jednego brzegu nad drugi, jakby na żadnym nie mógł znaleźć spokoju.

Słońce stoczyło się jeszcze niżej, złoty zaś nurt rzeki nasiąkał coraz silniej szkarłatem, aż naraz zarumienił się cały krwią, a rzeka, jakby się tego zjawiska ulękła, jeszcze więcej przycichła. W uroczystej tej chwili rozległ się szelest i plusk i z pod ogrodów, jak nieziemskie widziadło, wysunęła się wązka łódka. Z tyłu łodzi krzepka postać odpychała się od piasku długiem wiosłem, z przodu druga zanurzała w fale podrywkę, wyciągając ją co czas pewien, a wtenczas, jak roztopiony metal, spływała z sieci woda, wewnątrz zaś zostawały często drgające kawałki srebra, a nieraz nic. Wówczas Jerzemu robiło się przykro: żal mu było każdego zmarnowanego wysiłku rybaka, za to uśmiechał się sercem, gdy połów był szczęśliwy.

Wkrótce łódka wsunęła się znów pod

znajdujących się na nizkim poziomie zamożności społecznej. Anglia, Niemcy, Francya, my — oto w przybliżeniu szereg krajów, coraz mniej zdolnych do prowadzenia skutecznej walki przy pomocy proponowanych środków. Działalność, skierowana na założenie sanatoryów, w coraz znaczniejszym stopniu przypomina tam rozpędzanie dymu gryzącego oczy, obok jednoczesnego dorzucania drewek do ogniska. Niewątpliwie walka z gruźlicą jest wielkiem zadaniem narodowo-społecznem, ale powinna o tem nie zapominać, że od sanatoryów doniosłejszem jest zaprowadzenie dobrej a obowiązującej wentylacyi w warsztatach, powstrzymanie, z pomocą prawa, powstawania wielkich kamienic, tych inicyatorek zarazy i wysokiej renty miejskiej, zapewnienie, za pośrednictwem ustawodawstwa, minimalnego poziomu płacy, zabezpieczenie zarobku tym, którzy z niego żyją. Tylko przy urzeczywistnieniu takich żądań sanatorya i inspekcya sanitarna mogą wydać oczekiwane owoce, i to tylko wtedy, gdy staną się instytucyą gminną, względnie municypalną. Tego rodzaju głosy dały się słyszeć na zjeździe berlińskim i pozostawiły wrażenie, a zastęp ich będzie się wzmagał w miarę tego, o ile lekarze coraz bardziej będą porzucali dotychczasowy punkt widzenia — *walki* tylko z chorobą i będą uprzytomniali sobie zadania społeczno narodowe swego zawodu.

K. R. Z.

O BEZPIECZEŃSTWO I SIŁY LUDZKIE.

Powtarzające się znowu dość często w ostatnich czasach różne wypadki na kolejach żelaznych wywołały w sferach ministeryalnych szereg środków zaradczych, zmierzających do zreformowania dotychczasowego systemu pracy olbrzymiej armii urzędników i oficyalistów kolejowych, zarówno w biurach, jak i na linii. Między innemi niedawno ministeryum komunikacyi, celem ulżenia w pracy urzędnikom kolejowym, postanowiło od d. 14 b. m. na wszystkich kolejach skarbowych określić dzień roboczy dla urzędników biurowych najpóźniej do godz. 6 wieczorem. Przyczem każdemu pracownikowi raz na rok będzie przysługiwało prawo korzystania z urlopu miesięcznego. Prócz tego wydano wiele innych drobnych rozporządzeń, które mają na celu oszczędzanie sił ludzkich i zachowanie ich świeżości, gwoli dobru i bezpieczeństwu publicznemu. Jest to wielce pomyślny zwrot, który można nazwać zaledwie początkiem reform, niezbędnych i pilnych w bardzo szerokim zakresie na wszystkich kolejach żelaznych, zarówno skarbowych jak i prywatnych. Reformy takie przedewszystkiem należy zacząć od telegrafu — nerwów organizmu kolejowego, które dziś działają niedostatecznie i są w przeważnej większości źródłem wszelkich wypadków i katastrof. Dlatego też uważamy za rzecz konieczną cokolwiek bliżej się zastanowić nad tą sprawą niezmiernie doniosłą, zwłaszcza, że posiadamy źródłowy materyał, pochodzący z organu rosyjskiego Towarzystwa technicznego. Ludzi, obeznanych z całym mechanizmem ruchu kolejowego, przedewszystkiem uderza nieproporcyonalność sprawności telegrafów w stosunku do wzrostu potrzeb. Znaczną liczbę kolei zbudowano na terytoryach drzemiących, lecz nagle pod ożywczem działaniem komunikacyi zbudziło się tam życie, powstał przemysł. Praca telegrafów kolejowych, które pierwotnie były przeznaczone głównie dla sygnalizacyi, wzmogła się niepomiernie, nad siły pracowników, a także drutów i aparatów nielicznych. Korespondencye telegraficzne przemysłowo-handlowe, wynikające ze wzrostu ruchu towarowego kolei żelaznych, przeładowały pracą telegrafy. Nie dość tego; wzmogła się także korespondencya służbowa, która skutkiem swych przywilejów szerokich przygniotła zupełnie komunikacyę telegraficzną. Ta właśnie korespondencya jest pewnego rodzaju nadużyciem i wymaga najspieszniejszej reformy. Obecnie są przesyłane telegraficznie także wiadomości i dane, które nie ucierpiałyby wcale na ekspedycyi pociągami. Wielu urzędników służby ruchu rozmawia przez telegraf ze swoimi naczelnikami oddziałów, nawet w sprawach błahych. Rozmowy te bywają nadzwyczaj szerokie. Cierpią na tem oczywiście bardzo często depesze ważne. Przedewszystkiem są spóźnione, nadto, telegrafiści, chcąc podołać nawałowi pracy, przesyłają depesze pospiesznie i skutkiem tego robią częstokroć omyłki zupełnie zmieniające sens telegramu. Jakie stąd wynikają następstwa, łatwo ocenić. Rozporządzenia lub zawiadomienia wielkiej wagi przychodzą do miejsca przeznaczenia za późno i skutkiem tego bywają nieraz przyczyną wielu omyłek i nieszczęść. Szybkie porozumiewanie się za pomocą telegrafu urzędników tak zwanej służby ruchu naturalnie jest rzeczą pożądaną, ale przy słabej sprawności telegrafu jest ono szkodliwe. Należałoby więc przedewszystkiem tymczasowo ograniczyć rozmowy telegraficzne, ale zarazem wziąć się niezwłocznie i energicznie do zwiększenia liczby drutów, wprowadzenia bardziej udoskonalonych aparatów telegraficznych i zwiększenia liczby pracowników, dobrze przysposobionych do swego fachu, doświadczonych i posiadających wyższy, niż obecnie cenzus umysłowy.

Dziś obsługa telegrafów kolejowych jest bardzo słaba. Telegrafiści doświadczeni i dobrze wykwalifikowani przechodzą zazwyczaj na lepsze stanowiska naczelników stacyi i ich pomocników lub na inne posady. Natomiast miejsca telegrafistów zajmują w przeważnej liczbie ludzie bardzo młodzi, niedostatecznie przygotowani, w wieku 18—23 lat. Znaczna ich liczba co rok idzie do służby wojskowej lub na ćwiczenia, a na ich miejsca przybywają zastępcy, jeszcze mniej doświadczeni i uzdolnieni. Wogóle koleje żelazne nie posiadają dotąd szkół odpowiednich, w których uczonoby nietylko samego telegrafowania, lecz i związanego z tą sztuką całego mechanizmu tak zwanej służby ruchu. Dotąd w tej mierze wyjątek stanowią tylko koleje: Riazańsko-Uralska i Poleskie.

Do telegrafów kolejowych zresztą ludzie nie spieszą tak bardzo z tej prostej przyczyny, że w stosunku do olbrzymiej pracy, wymagającej nieustannego natężenia uwagi w ciągu kilkunastu godzin, a nawet całej doby — wynagrodzenie jest nadzwyczaj małe, niewystarczające na najpierwsze potrzeby nawet ludziom samotnym i bardzo skromnym w swych wymaganiach. Chcąc tedy wzmocnić obsługę telegrafów ludźmi z wyższym cenzusem umysłowym, których praca byłaby produkcyjną, pożyteczną i bezpieczną dla ogółu, trzeba przedewszystkiem podnieść skalę wynagrodzenia w gotowiznie i naturze, tj. dać odpowiednie pensye i mieszkania. Nadto, trzeba zwiększyć liczbę pracowników w takim stosunku, ażeby przynajmniej trzy razy na dobę można było robić zmiany. Naturalnie ulepszenia takie muszą iść w parze z udoskonaleniem aparatów i zwiększeniem liczby drutów. Dopóki te wszystkie zasadnicze reformy nie będą wprowadzone, póty nie pomogą żadne środki dyscyplinarne. Obecnie telegrafiści kolejowi bardzo często

---

ogrody, a słońce opadło jeszcze niżej. Tarcza już znikła za chmurą; na horyzoncie leżał ogromny wachlarz jasnych smug promieni, a w krwawem morzu, niby szczątki pobitych potworów, pływały poszarpane strzępy obłoków.

Jerzy wstał, nie chciało mu się jednak wracać do gospody, szedł więc wzdłuż brzegu i skręciwszy w pierwszą napotkaną ścieżkę, począł się piąć pod górę, pokrytą w dole krzewami berberysu i karłowatym jałowcem, a wyżej lasem. W miejscu, gdzie ścieżka wpadała do szerokiej drogi, spotkał chłopa z radłem i koniem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powitał go chłop.

— Na wieki — odparł Jerzy i szedł dalej pod górę, aż się zadyszał; zboczył więc z drogi i siadł na kupie miękkiego chrustu.

Odpoczywał chwilę bezmyślnie, aż raptem wydało mu się, że gdzieś, kiedyś widział tego chłopa, radło i takiego samego gniadego konia z wytartymi bokami. Obejrzał się; nie było już nikogo, natomiast myśl mu pochłonął nowy widok.

W dali—konające w czerwieni łuny zachodu, niby gniewne ognie strącanego w przepaść dnia; pod niemi pancerz rzeki, na nim ciemna plama tratwy z ognikiem płonącym blado, bliżej—wtulone w kępy drzew chaty ciche, a w dole kupka domków z jarzącemi światłami w oknach.

— Szabas! — szepnął Jerzy, pochylając się w tył; położył się na wznak i, jak to nieraz czynił, będąc malcem, jął patrzeć w niebo:

Tam wisiały drobne obłoczki z czerwonymi płomieniami po brzegach, jak gorące kłęby żółto-białego dymu, a że wiatru nie było, więc leżały nieruchomie na sklepieniu nieba.

— Jak dobrze i cicho! — pomodlił się Jerzy, zamykając oczy, jakby chciał się jeszcze głębiej w tej ciszy pogrążyć.

I gdy tak leżał, wypłynęły przed nim nagle spłowiałe oczy starca, koń z wytartymi bokami i cały Wimierz, a zaraz potem lata dziecińśtwa i, jakby się zamknął łańcuch elektrycznej bateryi, jasna błyskawica rozświetliła świadomość. W tej jednej, krótkiej chwili olśnienia Jerzy przypomniał sobie i zrozumiał odrazu wszystko:

— Tam, w rodzinnej wsi siadywali pod wieczór przed chatą tacy sami, już po za życiem stojący, starcy i pozwalali mu bezkarnie rwać bzy pachnące. Tam na noc ściągały z radłami takie same zbiedzone koniki... Dwór zgorzał od pioruna i jest mogiłą popiołu i gruzu, ale na przyzbach licznych chat dziś, jak dawniej, siedzą w milczeniu osiwiali starcy, o czarnych, bronzowych twarzach, a po ugorach, jak wyszły, tak chodzą po dziś dzień bardzo nędzne lecz mocne, wiecznotrwałe koniki. Na powierzchniach rzek męczy się w wirach ruchliwa, lekka fala pienista, zmieniając za lada podmuchem bieg i kierunek — ale przyziemne nurty, choć powolne, są stałe, niezmienne i pewne.

Dzwon rozbujany od wieków dźwięczał dziś nutą słyszaną przed laty... tak samo żegnali się wtenczas chłopi, a po niezmierzonych łanach chodzi w radle ten sam, nieśmiertelny koń gniady.

W krwawych deszczach migają błękitne klingi błyskawic, zapowiedzie gromów, giną ludzie, pada mór, a „narodu coraz więcej — Bóg łaskaw!"— powtórzył Jerzy szeptem serdecznym i z uczuciem cichego ukojenia otworzył oczy.

Obłoczki już straciły kolory, zsunęły się z dawnego miejsca ku widnokręgowi, gdzie skupione leżały cicho, jak stado białych baranków, przydybanych nocą na łące. W pobliżu stada, niby pastuch, otulony wełnistym kożuchem, rozciągnął się większy obłok, świetlejszy przy brzegu. Odwinęła się zlekka poła kożucha, błysnęła żółtą skórą i z fałd wysunął się pozłoci-

są karani za spóźnianie depesz i przekręcanie ich treści. Kary te oczywiście są bardzo niesprawiedliwe, gdyż ponoszą je pracownicy za winę wadliwej gospodarki kolejowej.

Co do zbytecznego obarczania telegrafów depeszami niepilnemi lub błahemi, ministeryum komunikacyi już niejednokrotnie zalecało pewne ograniczenia, ale w praktyce prawie nigdy nie udawały się one przeprowadzić z powodzeniem. Zbyt gorliwi wykonawcy tych poleceń byli uważani za wrogów innych pracowników, a nawet za ludzi złej woli, nadużywających swej władzy. Jedynie więc zwiększenie środków sprawności komunikacyi telegraficznej (druty, aparaty ulepszone, zwiększona liczba pracowników) może zapobiedz złemu.

Poza telegrafem są jeszcze inne działy gospodarki kolejowej, obarczającej służbę nadmierną i niepotrzebną pracą, ze szkodą nietylko dla kolei, lecz i dla bezpieczeństwa publicznego. Tak np. dotąd prawie [illegible] sygnalizowania, co może wywołać fatalne skutki w razie że tak powiemy zapożyczenia maszynistów jednej kolei przez drugą podczas ruchu zwiększonego, co się nieraz zdarza. Głównie tu chodzi o drobną sygnalizacyę. Tak np. pochylenie skrzydła semaforu pod kątem 45° do góry jest stosowane na bardzo niewielu kolejach. Sygnał ten oznacza blizkie przyjście pociągu, albo też zatrzymanie się w punkcie nieoznaczonym w rozkładzie jazdy. Na innych kolejach sygnał taki nie jest używany. Światło zielone na zwrotnicy (czasem niebieskie, liliowe, białe-matowe) oznacza zakręt, białe przeźroczyste — linię prostą. Są to znaki powszechnie umówione. Istnieje wszakże jedna kolej (południowa), na której sygnały te mają odwrotne znaczenie.

Typów sygnałów zwrotnicowych jest niesłychane mnóstwo. Czasem nawet jedna stacya stosuje naraz dwa lub trzy typy. Zielona chorągiewka na ostatnim wagonie sygnalizuje idący następnie pociąg nadzwyczajny. Ale na pewnej kolei dwie zielone chorągiewki przy ostatnim wagonie oznaczają koniec pociągu. Semafory wieloskrzydłe są urządzane w najrozmaitszy sposób. Również sygnały dźwiękowe, wydobywane za pomocą gwizdawki, są bardzo rozmaite i nieustalone na różnych kolejach. Wogóle sygnalizacya, dzięki swym ulepszeniom, staje się coraz bogatszą, ale zarazem coraz bardziej zagmatwaną, wymagającą nadzwyczajnej czujności i nieustannej przytomności umysłu służby na linii i w pociągu. Wszelkie udoskonalenia w tej mierze są bardzo pożądane, ale niechże przynajmniej będą ujednostajnione systemy. Jest to konieczny warunek zaoszczędzenia sił pracowników i zapewnienia bezpieczeństwa publicznego.

Taka zgubna rozmaitość panuje nietylko w sygnalizacyi, lecz i w systemach parowozów, z których nadto znaczna większość jest zbudowana w ten sposób, jak gdyby zdrowie służby parowozowej rozmyślnie chciano wystawić na próby niebezpieczne. Na wielu liniach istnieją dotychczas budki parowozowe najgorszego systemu, otoczone z trzech stron ścianami blaszanemi, ze strony zaś czwartej daszek jest niewielki i mało zwieszony. Przez szczeliny u podstawy ścian wdziera się ostre powietrze i naraża maszynistę i palacza na zaziębienia. Istnieje zwyczaj, [illegible] się na wszystkich kolejach, puszczania w ruch parowozu odwróconego. W takich warunkach służba parowozowa niczem nie jest zabezpieczona od gwałtownego pędu powietrza i w ten sposób przebywa znaczne przestrzenie. Pomyślano o pociągach „luksusowych,“ o salonach wagonowych, o wannach, pianinach itd., tylko zapomniano o pomieszczeniach dla maszynistów na parowozach i co gorsza, dotychczas nie zastosowano sposobów ułatwiających mechaniczne podsycanie ognia tudzież smarowanie cylindrów. Dopiero w ostatnich czasach, i to bardzo rzadko, tu i owdzie zaczęto wprowadzać przyrządy mechaniczne. Różnorodność konstrukcyi parowozów na wszystkich kolejach jest także niejednokrotnie przyczyną wypadków i katastrof tem bardziej, że służba pociągowa w drodze zmienia się i nieraz przechodzi na inne koleje. W takich razach nawet najdoświadczeńszy, najbardziej uważny maszynista dostawszy parowóz, z którego urządzeniem nie jest obeznany, łatwo popełnia omyłkę. Fatalne może mieć następstwa nawet drobny szczegół, jak np. inny chód korby lamnicowej.

W szeregu wielu innych istnieje jeszcze jeden system, wyczerpujący siły maszynistów i innych pracowników, a więc tem samem zagrażający bezpieczeństwu publicznemu: nadmiar instrukcyj i formalności wszelakich, zmienianych i uzupełnianych nieustannie, przytem nieraz wyłożonych tak mglisto, że na ich zrozumienie (częstokroć mylne) trzeba dużo energii zużyć bez najmniejszego pożytku. Mnóstwo instrukcyj już przestarzałych dotychczas jeszcze ma zastosowanie w życiu i oprócz przyczyniania się do kar, nakładanych na pracowników tudzież do obarczania ich pracą nadmierną, nic innego nie przynoszą. Warto byłoby się wzorować na instrukcyach i wszelkich przepisach, stosowanych przez koleje amerykańskie. Ich prostota, zwięzłość i jasność nie wymagają natężenia uwagi pracowników i przyczyniają się do wielkiej sprawności służby, z pożytkiem zarówno dla kolei, jak i dla ogółu. Śladami Ameryki zaczynają w ostatnich czasach iść także Niemcy. Jeden z rzeczoznawców, zajmujących wybitne stanowisko na kolejach rosyjskich, wyraził się, że przepisy i instrukcye dla całej służby kolejowej, w Niemczech, zamknięte w jednej niedużej książce, są mniejsze, niż na kolejach rosyjskich jedna instrukcya dla zawiadowcy stacyi. To też wielu doświadczonych pracowników, pomimo swej [illegible] gorliwości przyszło do przekonania, że wypełnianie wielu instrukcyj w życiu jest całkiem niemożliwe. Tak np. maszynista przy najmniejszym wypadku, nie [illegible] żadnego [illegible] port. Tym [illegible] obarczony pracą dodatkową [illegible].

Sam p[illegible]ów, zwłaszcza towarow[illegible] parowozowej bardzo n[illegible] powolny bieg, długie p[illegible] przyczyniają się do p[illegible] godzin pracy, która wyjątkow[illegible] do służby parowozowej musi być minimalna, z możliwie najdłuższemi przerwami na wypoczynek.

Obecnie ministeryum komunikacyj zwróciło uwagę na te wszystkie braki, wady i niedokładności w mechanizmie ruchu kolejowego. Miejmy więc nadzieję, że w niedalekiej może przyszłości będą one usunięte, jeżeli nie całkowicie, to chociaż częściowo. Zwiastunami zmian pożądanych są właśnie rozporządzenia sfer sterniczych, mające na celu unormowanie warunków pracy i usunięcie niepotrzebnego balastu kancelaryjno-formalistycznego.

Zen. Piet.

Z NIEMIEC

Berlin, 18 stycznia.

P[illegible] tutejszym jak w ulu. Odbywały się wybory do zarządu czytelni akademickiej, a profesorom filo-

---

sty sierp i zawisł na ciemnym szafirze. A dalej stał bez koni zapomniany, drogocenny wóz o dyamentowych kołach, więc na wszo strony rozbiegli się z latarkami aniołowie po łące niebieskiej i błąkali się wśród nocy, szukając pasterza, stada i złotych narzędzi.

Westchnął lekki wiatr nad ziemią smutną, potrącił zioła i kwiatów kielichy, wylewając z nich pachnidła, jął szemrać po krzakach, aż gdzieś w gęstwinie świsnął zbudzony słowik raz i drugi, potem zaszczebiotał w szybkiem tempie. Z doliny odpowiedział, jak echo, inny i rozśpiewały się krzaki i gaje, jak arfy cudowne.

— Noc, śpiew i pachnie!... — tyle tylko zdołał jeszcze myśleć Jerzy, w ten sposób jedynie usiłował określić swojo wrażenia. Wkrótce i te szczątki myśli pierzchły i Jerzy począł doznawać dziwnego uczucia, jak gdyby cała jego świadomość i wszystkie zmysły stały się niemem, lecz jasnem zwierciadłem, z obu stron wrażliwem.

Z zewnątrz odbijały się w niem: cały sklep nieba, słowicze tony, pyłki zapachów, księżyc i roje gwiazd, w nieskończoną dal idące; a z wewnątrz przyglądały się również nieskończone głębiny ducha, gdzie leżały także w błękitnych mgłach perły świecące, złote kielichy cudownych woni i srebrne struny, łkające wtór słowiczym śpiewom.

I owa tafla lustrzana, rozciągając się, robiła się co chwila coraz cieńszą i bardziej przeźroczystą, tak że w końcu pomiędzy Jerzym a resztą świata delikatna błona przejrzysta stała się jedyną, prawie niewyczuwalną granicą. Gwiazdy, sącząc przez nią swe promienie w głąb' jego jestestwa, jęły się zlewać z ogniami tajemnymi jego duszy w jeden potok światłości; grania słowicze łączyły się z drganiami najsubtelniejszych strun serca w zgodny płacz słodkiej, choć smutnej rozkoszy, a ciche szmery wiatru z jeszcze słabszymi szeptami najgłębszych tajników jego istoty stapiały się w jedno wspólne westchnienie.

Nie wiedział już, co nad nim? On sam, czy niebo?

Co w niebie — on sam, czy gwiazdy?

Co wzdycha — on sam, czy wiatr?

Co płacze — słowik, czy on?

Rozpływał się w coraz szersze obszary, obejmował nieskończone bezkresy czasu i przestrzeni...

Gdy naraz przejrzysta błona zmętniała, skurczyła się boleśnie, zmieniając się z przerażającą szybkością w nieprzenikliwą, grubą i ciemną skorupę. Z Jerzym zaś stało się coś takiego, co się dzieje z przemrożoną wodą, gdy trącona nagle w mgnieniu oka tężeje w zwartą bryłę lodu od dna do powierzchni.

Czar prysł.

Jerzy zerwał się na równe nogi, jakby go coś podrzuciło, i w bolesnem napięciu wszystkich zmysłów z wytężoną uwagą począł się wpatrywać w mroczny szczyt góry.

Co to?.. Cały szczyt kłębi się splotami straszliwych cieni... Ostre połyski... Szczęk.. Gwar... Miarowy tętent... Zdziczały krzyk... Jęk wzdrygającej się ziemi...

Wojna!..

Gdzie?..

Ach, wszystko jedno!...

KONIEC.

logii starożytnej, gdy oglądali okna audytoryów, zaczerwienione twarze studentów, ludzi rozdających odezwy, „szleperów,“ sprowadzających za kołnierz chwiejnych lub obojętnych wyborców, zdawało się, że powróciły owe okropne czasy sofistów w Atenach, kiedy na rynku uwodzono młodzieńców pięknemi mowami i błyskotliwymi sofizmatami. Na podwórzu uniwersyteckiem uwijał się nawet reporter w wytartym cylindrze i w wyszarzanym tużurku. A jest to rzeczywiście rzadki gość w „państwie uniwersyteckiem.“ Zagląda on tu tylko, gdy świeżo zamianowany *rector magnificus* wygłasza swą programową mowę, lub gdy nowy profesor rzuca we wstępnym wykładzie rękawicę uznanym i zadowolonym zarówno z siebie, jak z nauki powagom. Teraz zaś zawitał sylf dziennikarski w nadziei obfitego połowu faktów niezwykłych. Wybory tegoroczne miały stanowić przełom w dziejach tutejszej młodzieży uniwersyteckiej, która nie chciała jakoby dłużej uznawać praw pierworodnych burszostwa. Niegdyś burszowie byli solą ziemi niemieckiej. Gdy junkrzy niemieccy doznali sromotnej porażki pod Jeną, gdy książęta zaprzedali się Bonapartemu i upadli do nóg jego, gdy bankierzy berlińscy witali go ostentacyjnie pod Lipami, wtedy jedynie burszowie nie ugięli kolan. Napoleon upadł, a mrok egipski Metternichowskiej reakcyi spowił Niemcy rozcięte na kilkadziesiąt drobnych pasemek państwowych. Znowu jedyni burszowie, ścigani i więzieni przez książątka, trzymali sztandar zjednoczenia narodowego. Zjednoczenie to nareszcie nastąpiło, I oto szlachetni zapaleńcy, co niegdyś szli w ogień i wodę za ideę, stopniowo spadali na stopień dzikich zawadyaków, brudnych piwoszów i bezmyślnych kretynów. Miasto uszlachetniających serce ideałów, zaczęli odtąd wyznawać bismarkowskie „ausrotten“ we wszystkich jego licznych gatunkach i odmianach (antysemityzm). Każdy kandydat do wyższej posady musi przedewszystkiem wylegitymować się poufnie z przynależności do tego lub innego stowarzyszenia. Jednym burszenszaftom przysługują mniejsze, drugim większe przywileje przy obsadzaniu urzędów, zależnie od cenzusu majątkowego, pochodzenia i stopy życiowej ich członków. Władza uniwersytecka również pieściła burszenszafty, upatrując w nich jedynych prawowitych przedstawicieli uczącej się młodzieży, zwłaszcza na prowincyi, gdzie burszowie trzymają w postrachu miasteczka uniwersyteckie. W ostatnich latach zaszedł jednakże niespodziewany zwrot. Naprzód ucząca się młodzież pod wpływem prądów doby bieżącej zrozumiała, iż w przyszłości oczekujące ją obowiązki nie pozwalają trwonić drogiego czasu na pijatyki i bezmyślne awantury. Gdy w r. 1896 podczas obchodu jubileuszu 25 letniego istnienia Rzeszy burszowie przedstawili się cesarzowi, ten zwrócił się do nich ze słowami: „Postarajcie się panowie, aby mniej zrzędzono w kraju.“ Słowa te były wystosowane pod niewłaściwym adresem, gdyż bursz niemiecki, zaprzątnięty służbą Wenerze i Gambrinusowi, zna się na sprawach społecznych tyle, co kura na pieprzu. Życie społeczne jest misterną tkaniną, a niekiedy plątaniną z najrozmaiciej ułożonych włókien interesów i idei, tak że bez należytego przygotowania i jedynie na podstawie doryweczo otrzymanych wrażeń nie sposób wydać jako tako uzasadnionego o nim sądu. Udzielanie tych właśnie wiadomości elementarnych postawiły sobie za zadanie zakładane od kilku lat w miastach uniwersyteckich t. zw. naukowo-społeczne stowarzyszenia (Socialwissenschaftliche Vereine). Dają one możność członkom zapoznawania się z kwestyami bieżącemi oraz ze stanem wiedzy społecznej wogóle. Rola prelegentów przypada po większej części w udziale profesorom, którzy niekiedy z mównicy „Vereinu“ puszczają w obieg nowe hasła lub staczają turnieje z przeciwnikiem Po odczycie następuje nader ożywiona dyskusya, w której biorą udział nietylko członkowie stowarzyszenia, ale i goście, korzystający z wolnego wstępu na zebrania. Stowarzyszenia po za tem, organizują zbiorowe wycieczki bądź dla poznania życia ludu, bądź dla oglądania instytucyj dobroczynnych lub społecznych wogóle. Stowarzyszenie społeczno-naukowe stało się świeżem źródłem wiedzy i idei dla młodzieży, ale zarazem usiłowało dać wyraz swym dążnościom w odmiennem ukształtowaniu czytelni akademickiej. Postawiło ono przedewszystkiem wniosek o dopuszczeniu do niej kobiet, dalej w przeszłym roku uchwaliło otworzyć instytucyę tę w niedzielę dla ludu, przeciw czemu założył protest *rector magnificus*. Nadto zażądało, aby zaabonowano wszelkie czasopisma treści społecznej bez różnicy kierunku.

Drugą próbą wyzwolenia studenteryi z pod hańbiącej hegemonii burszów uczyniły korporacye „wolne“ t. zw. *Finkenschaften*, do których mają wstęp wszyscy bez różnicy pochodzenia, stanu majątkowego i wyznania. Związki te rozpadają się na szereg stowarzyszeń o celach bądź naukowych, bądź sportowych.

Wspomniane tu stowarzyszenia wraz z powstałemi w ostatnich latach korporacyami katolickiemi wszczęły walkę o berło rządu w czytelni akademickiej. Uniwersytet stał się widownią zapasów stronniczych, mających zabarwienie wyraźnie polityczne. Stąd niezwykłe zainteresowanie się ogółu tą sprawą. Przodownictwo burszów w istocie prysnęło i stopniowo do dusznej atmosfery *almae matris* zaczynają przedostawać się świeże powiewy. Mumie uniwersyteckie ronią łzy nad upadkiem studenteryi, która miast uprawiać fechtunek i okładać kijami stróżów nocnych, rzuciła się w wir walki stronnictw politycznych. „Polityka znieprawia charakter ludzki“ — opiewa znany aforyzm. Do tych mumij nie należy jednak prof. Paulsen, już chociażby dlatego, że podaje w wątpliwość trafność przytoczonego aforyzmu. Czy naprawdę walka stronnictw politycznych podważa interesy społeczeństwa? — pyta on w odczycie, który obecnie ogłosił drukiem. Prof. Paulsen nie należał nigdy do burzycieli w nauce: nie bije od niego czar ani głębokości myśli, ani oryginalności. Z wyjątkiem znakomitych badań nad historyą pedagogiki uczony ten nie potrafił wysnuć z siebie ani jednej poważnej idei. Za to należy mu poczytać za wielką zasługę, iż brał zawsze pióro do ręki, gdy „trudno było nie pisać satyry.“ Prof. Paulsen z *passe-partout* zawodowego moralisty w ręku wygłaszał kazanie etyczne. Gdy zaś nad społeczeństwem zawisł miecz damoklesowy ustawy antiprzewrotowej, gdy minister miotłą urzędową zaczął wymiatać uniwersytet, gdy żołnierzom kazano ot, dla rozrywki, ścinać głowy wziętym do niewoli Chińczykom, prof. Paulsen szczerze przypomniał społeczeństwu paragrafy kodeksu moralnego. Dziś wobec tu i owdzie wyłaniającego się poglądu, iż polityka partyjna szkodzi społeczeństwu, Paulsen roztrząsa teoretycznie to zagadnienie. Dając krótki zarys starszych partyj niemieckich, autor podkreśla zwrot, jaki zaszedł po r. 1860. Odtąd bowiem punkt ciężkości przesuwa się, a po przez powłokę ideologiczną prześwieca jądro żądań bardzo realnych i ziemskich. Od tego też czasu tętno polityki bije gwałtowniej, niż dawniej. Stronnictwa polityczne są koniecznością jako potężne zbiorowiska słabych luzaków, które nadają kierunek sterowi państwa tylko dzięki swemu naporowi. Warto tylko przypomnieć, iż tolerancyę wyznaniową i sprawiedliwość społeczną, uznawane przynajmniej w teoryi przez współczesne prawodawstwo niemieckie, Niemcy zawdzięczają centrum i krańcowej lewicy parlamentarnej. Tylko potężne i wpływowe stronnictwo, mające za sobą zastępy płacących podatki wyborców, może za pomocą parlamentu, który zatwierdza budżet państwowy, wymódz na rządzie to lub inne ustępstwo. Imponuje siła, a taką siłą jest każda zorganizowana, ławą idąca gromada. *A la guerre, comme a la guerre.* Dobrocią i potulnością nie wskóra się nic. Z konieczności więc każde stronnictwo musi postępować tak, jak gdyby przemawiało w imieniu całego społeczeństwa. Pod tym względem należy odróżniać w każdym obozie lewe i prawe skrzydło. Pierwsze przestrzega litery prawa, drugie nadaje partyi żywotność i elastyczność. Smutna to rzecz, iż partya nie uznaje żadnych bóstw prócz własnych i należy ubolewać, iż zalepia wszystkie rysy we własnym organizmie, iż okłamuje siebie i świat, chcąc ukryć własną słabość lub słabostki. Ale uprzytomnijmy sobie, ciągnie dalej Paulsen, jakimi środkami walczyły stronnictwa starożytności, jak wstrętny i brutalny charakter nosiły zapasy średniowieczne. Nie wpadając zatem zgoła w optymizm, możemy twierdzić, iż etyczny poziom polityki podniósł się, a przyszłość bezwarunkowo rokuje nam dalszy rozwój na tem polu. Nastąpi czas, kiedy uczciwość będzie obowiązywała i w polityce, kiedy każdy odłam będzie szanował swego przeciwnika, kiedy wreszcie będzie starał się swoje własne interesy podporządkowywać dobru ogólnemu. Już dziś mamy przykłady, iż ten lub inny obóz zrzeka się pretensyj lub praw na korzyść osoby trzeciej. Są to wypadki nadzwyczaj rzadkie, ale miejmy nadzieję, iż kultura etyczna i tu wyciśnie swe piętno stałego wpływu.

N. F.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Quasi una fantasia.

Gdyby świat ucywilizowany miał swoje wspólne mauzoleum, wybrałby do niego zaledwie parę polskich trumien, ale niewątpliwie znalazłaby się między niemi trumna Chopina. Jest to bowiem nietylko dla nas, ale dla wszystkich narodów oświeconych olbrzym, którego głowa wznosi się po nad chmurami padołu, niezakrywającemi mu nigdy słońca. Śród tego wszakże morza powszechnej czci sterczy jedna skała, o którą rozbijają się jego fale — kapituła krakowska. Gdy powstał projekt sprowadzenia prochów Chopina z Francyi i złożenia ich na Wawelu — ona oparła się i odmówiła swego zezwolenia. Ten, który jest godnym zająć miejsce we wszystkich panteonach świata, nie jest godnym kąta w podziemiach katedry krakowskiej. Tam spoczną kiedyś zapewne redaktorzy *Czasu* i inne zacne ciałka stańczykowskie. Dla Chopina wystarcza — według kapituły — Skałka! Rodzina wielkiego muzyka nie chciała się na to zgodzić — i cały projekt sprowadzenia drogich szczątków upadł, a utworzony dla tej sprawy komitet rozszedł się. Nie mogąc złożyć Chopina na wieczny spoczynek w Krakowie, postanowiono przynajmniej wznieść mu pomnik we Lwowie. Znowu zawiązał się i z powodów nam nieznanych rozwiązał się osobny komitet,

który zebrane, „dość znaczne“ fundusze przekazał „do zachowania“ Kołu artystyczno-literackiemu. Czy obu komitetom zachciało się nagle sejmowania, czy może ich członków nawiedził we śnie smutny duch Chopina, dość że zażądano od Koła zwrotu powierzonych mu pieniędzy. Tu nastąpiła niespodzianka. Koło odpowiedziało szczerze — według *Gazety polskiej* — że „nie jest w stanie zwrócić depozytu.“ *Finis coronavit opus.* Temu czynowi, który miał tyle wzorów w bankach i kasach galicyjskich, niepodobna zaprzeczyć jednej wielkiej zalety: uwalnia od trudu wyszukiwania dla niego odpowiedniej nazwy i pozwala się oceniać nawet przy pomocy dziesięciorga przykazań.

Gdyby podobne, niestety, zbyt częste i liczne wieści z Galicyi o rękach, zanurzonych tajemnie w cudze kieszenie i w skarbony grosza publicznego, miały jedynie miejscowe znaczenie, byłyby już nawet w tym zakresie nader przykre. Ale one sięgają swą niesławą i wpływem dalej. Galicyanie, ulegając takim pokusom, powinniby pamiętać, że oni niotylko krzywdzą i zniesławiają siebie, ale dostarczają podstaw dla skwapliwie wyciąganych wniosków o wartości moralnej całego narodu, skoro on się znajdzie w warunkach samorządu. Wiele złośliwych argumentów, wiele zabójczych strzał ukutych zostało z materyału galicyjskiego. A to, o czem dowiadujemy się obecnie, przerasta niecnoty dawniejsze. Chopin niedopuszczony do Wawelu, składki na pomnik dla niego strwonione — doprawdy to *quasi una fantasia.*

Honni suit...

Gazeta polska ustawiła na swym okopie ogromne działo, z którego zaczęła miotać wielofuntowe bomby na jeden z cyrkułów prasy warszawskiej — *Słowo.* Więc wojna — o co? Pierwszy pocisk wydał nam się strzałem, maskującym plan zręcznego strategika, który nie chciał odrazu zdradzić celu swej kanonady. Aliści 22 stycznia padł drugi. W ogłuszającym jego huku dosłyszeliśmy naprzód bardzo mocne tony: „jakiem czołem może to robić...“ „fałszowanie miar i wag...“ „kłamie co do zasady ogólnej i sypie insynuacyami...“ Aaa! Trafia w sedno. Dotychczas napadani, posądzani, oskarżani przez *Słowo* zachowywali się względem niego jak kosiarze, którym polecono, ażeby, spostrzegłszy w polu lub łące kuropatwę, siedzącą na jajach, pozostawiali nieściętą kępę trawy z jej gniazdem: w polemice z tem pismem również obkaszano pewne miejsca, w których siedziały zabezpieczone kuropatwy. Aż tu nagle *Gazeta polska* zaczyna strzelać w owe kępy śmiało i bezlitośnie? Pomijając odwagę, ależ gust! Ze zdumieniem też zabraliśmy się do obejrzenia jej pękniętej bomby. Co to? A! — rozumiemy. Jakkolwiek *Gazeta polska* zapewnia, że występuje z „pobudek zasadniczych,“ usiłuje tylko dowieść, że *Słowo* używa przeciw niej niegodziwych „sztuczek konkurencyjnych,“ że samo dołączając dodatki, powstaje przeciw jej dodatkom, że w szeregu dzienników warszawskich zajmuje pod względem prenumeratorów „miejsce przedostatnie,“ że mu abonenci ciągle ubywają a jej rosną, że Sienkiewicz po trylogii do *Słowa* wbrew jego zapewnieniom żadnej powieści nie napisał i prawdopodobnie nie napisze. Więc może i *Gazeta* obkosiła kuropatwę? Nie. Po za tą listą grzechów prospektowo-wydawniczych, względem niej popełnionych, nie dostrzega ona w *Słowie* żadnych usterek, zasługujących na naganę „z pobudek zasadniczych.“ Przeciwnie, około jego redakcyi, według niej, „grupują się ludzie, którzy zawsze byli i będą wzorami rycerskości... niezdolni do czynów, na których ciężyć by mógł najlżejszy ślad złej wiary.“ Ale między tych „dżentelmanów zakradają się chwilami maski,“ które dopuszczają się występku, wołającego o pomstę do... prenumeratorów, mianowicie dyskredytują dodatki *Gazety polskiej*, kłamią w prospektach, przywłaszczają sobie Sienkiewicza itd. — jak wyżej.

Oto powód, przebieg i idea wielkiej wojny dziennikarskiej. Obojętni jej świadkowie nie możemy się powstrzymać od lekkiego uśmiechu i od wyznania, że jeśli „dżentelmanowie“ *Słowa* są istotnie takimi wzorami rycerskości i ciąży na nich tylko wina masek, które dopuszczają się „sztuczek konkurencyjnych,“ to *Gazeta polska* może śmiało zapomnieć o swej osobistej urazie i przypiąć im order Podwiązki z godłem: *Honni soit qui mal y pense.*

Jeszcze jedna kwestya.

Tak zwane „kwestye,“ podnoszone nieraz w naszych pismach przypominają nam wiele owe mądre zagadnienia filozofii średniowiecznej, w których chodziło o to: „czy krowę prowadzi na targ ręka chłopa, czy sznurek,“ lub „coby się stało, gdyby Mahomet był się urodził ogórkiem.“ Jeden z krytyków porąbał ostrem piórem aktorów teatru Rozmaitości, którzy ogłosili przeciw zniewużaniu ich zbiorowy protest. I oto zaraz narodziła się „kwestya“: czy aktor ma prawo odpierać ciosy krytyczne. Jedni odpowiedzieli *tak*, drudzy — *nie*, a ten spór godny kłótni eunuchów trwa dotąd. Niech nas strzeże patron rozumu ludzkiego od chęci odegrania roli rozjemcy w tym wielkim zatargu. Pozwolimy sobie tylko przypomnieć zapaśnikom, że dotąd w Chinach aktorzy za złą grę otrzymują chłostę i że gdy przed paru laty zażądali nieśmiało równouprawnienia z innymi obywatelami, oburzono się w prasie na ich protest przeciwko... krytyce. Ponieważ zaś obsadki piór naszych bywają często bambusowe, a zadawane przez nich razy są bardzo podobne do krytyki teatralnej chińskiej, więc chyba niema żadnej racyi odstępowania od zwyczaju uprawnionego w narodzie, który wynalazł druk, papier i wiele innych pięknych rzeczy. Jest natomiast racya rozciągnięcia przywileju aktorów na wszelkich artystów: malarzów, rzeźbiarzów, poetów itd. Można ich wabić, ile się zmieści — aby tylko pod tytułem krytyki subjektywnej — a oni nie powinni ani pisnąć publicznie i gromadzić w milczeniu wawrzyny bohaterów cierpliwości. Tak przynajmniej czynią w Chinach.

Czwartki.

Jak wiadomo, Towarzystwo sztuk pięknych zbudowało sobie własny gmach i skutkiem tego potrzebuje pieniędzy. W tym celu, między innymi środkami, wyłączyło jeden dzień w tygodniu, czwartek, od zwykłej opłaty za wejście i podniosło cenę biletu do 50 kop. Ponieważ wszelkie szlachetne a niedość wyraźne zamiary znajdują natychmiast komentatorów i apologistów w prasie, więc dowiedzieliśmy się, że ów drogi dzień jest przeznaczony dla arystokracyi, która woli zapłacić trochę kopiejek więcej, ażeby tylko mogła być na wystawie sama lub przynajmniej w nielicznem pospólstwie. Pomysł w intencyi chwalebny, ale w przeprowadzeniu nie dość radykalny. Należałoby bowiem co czwartek usunąć obrazy malarzów, których pochodzenie razić może „towarzystwo“ (przez małe *t*), a nadto od zwiedzających żądać przy kasie książeczek legitymacyjnych. Możnaby nawet w kierunku pomnażania funduszów instytucyi pójść jeszcze dalej i sale gmachu wynajmować na bale, uczty lub schadzki. Wszakże przysłowie powiada, że „pieniądz nie cuchnie.“

Za to ustępstwo z demokratyzmu niech nam Towarzystwo zrobi przyjemność i w sprawozdaniu ogłosi, ile też zyskało z owych czwartków na schlebianiu kastowości. Może wówczas w oczach naszych nabierze znaczenia „piękna ofiara“ jakiegoś dobroczyńcy, który w *Kuryerze warszawskim*, oklaskany przez redakcyę, zobowiązał się wraz z córką płacić Towarzystwu 10, wyraźnie *dziesięć* kopiejek tygodniowo, co wynosi 5 rb. 20 kop. rocznie, czyli o 20 kop. więcej, niż składka jednego członka. Życzymy, ażeby tyleż spłynęło z wdzięcznych rąk arystokratycznych za urządzanie *cabinets a part* w salach wystawy. Tu nasuwa się nam uwaga: widocznie bogowie greccy przewidzieli czwartki w naszem Towarzystwie sztuk pięknych i dlatego nie wyznaczyli malarstwu osobnej muzy, którąby się czuła bardzo zakłopotaną w swym domu. Świątynia bez bogini nie nakłada obowiązków ścisłego kultu i w potrzebie może być użyta na *appartament separé.*

„Książka.“

Pod tym tytułem, pod kierunkiem literackim p. M. Massoniusa księgarnia E. Wende i S-ka rozpoczęła wydawnictwo „miesięcznika poświęconego bibliografii krytycznej.“ Już oddawna wzdychano u nas do podobnego czasopisma; nasi uczeni, nasi bibliografowie, nasi bibliofile, cały nasz świat miłujących książkę polską nie jako źródło kupieckich dochodów, ale dla niej samej, dla jej treści — słowem my wszyscy — zazdrościliśmy literaturom zachodnio-europejskim tego rodzaju wydawnictw. I za każdym razem, kiedy braliśmy do ręki tom czy zeszyt lipskiego *Literarisches Centralblatt* (dziś już czcigodnego 50-letniego jubilata), albo paryską *Revue critique d'histoire et de litterature* (34 roczniki), albo londyńskie *Athenaeum* (przeszło 3,800 numerów) *) — ogarniało nas uczucie głębokiego smutku, że my posiadając literaturę, pisarzy, wydawców — nie umiemy w tym właśnie kierunku wysiłków tych trzech czynników zespolić. Dziś przeto, dowiadując się z prospektu, że „Książka“ ma być „możliwie *zupełnym*, *bezstronnym* i *fachowym* okazem krytycznym bieżącego piśmiennictwa polskiego,“ zapisujemy na tem miejscu sam fakt, jako wysoce znamienny objaw naszego społecznego i umysłowego rozwoju i doskonalenia się. Na podstawie jednego zeszytu trudno i nielogicznie jest jakiekolwiek wnioski i uogólnienia wyprowadzać: trudno — albowiem materyał indukcyjny, sprawozdawczy jest zbyt ilościowo małym, aby odsłonił rzeczywisty obraz zamiarów i chęci kierowników; niebezpiecznie — albowiem można łatwo zamiary te przecenić, albo łatwiej jeszcze chęci zapewne poważnych i w miłości istotnej nauki, niezależnej myśli, niezłomnych przekonań poczętych niedocenić. Zamkniemy tedy szczelnie kałamarz żółci krytycznej — poczekamy; otworzyć sobie natomiast pozwolimy inny kałamarz — różowych pożądań. Czemże ma być „Książka?“ Najłatwiej powiedzieć, czem być nie ma; od tego zacznijmy. A więc nie powinna przypominać innych pism, drukujących sprawozdania „krytyczne“ czyli najzwyklejsze najczęściej wcale nie krytyczne opowieści o tem, co zawiera taka lub inna książka, o wrażeniach, które „krytyk“ przy czytaniu odebrał. Nie ma potrzeby dodawać, że takie krytyki są najczęściej bądź niewolniczem streszczeniem „numeru bibliograficznego,“ bądź w dużej części zlepkiem dosłownie przepisywanych cytat, bądź też luźnie sfastrygowanemi wrażeniami ulotnemi sprawozdawcy często niezależnie od książki i ku wszelkiego z nią związku rozwijającemi się, bądź też—kryje się w nich chęć załatwienia osobistego

*) Wymieniamy tylko tytuły powyższe dla przykładu, jako typowe, bo najstarsze i bardzo zasłużone czasopisma ktytyczne. Pism takich jednak jest wiele więcej: *Deutsche Literaturzeitung*, *Polybiblion* (fr.), *Le moyen âge*, *Academy* itd.

nieprzedawnionego rachunku z autorem... Rzadko kto czyta też takie recenzye a drukujemy je najczęściej z przyzwyczajenia tylko, z zadawnionego zwyczaju wydawniczego. Słusznie też mówił nam kiedyś czcigodnej pamięci St. Laguna, że dział sprawozdań w naszych miesięcznikach i tygodnikach istnieje właściwie tylko dla zapełniających go... literatów. Jeżeli tedy dobrze rzecz zrozumieliśmy: oto, czem nie powinna być „Książka." Powinna zaś służyć szczerej, rzetelnej *nauce*. Bibliografia *krytyczna*, o jakiej mowa w tytule pisma, może być tylko umiejętną nie dlatego tylko, że jest pisaną przez specyalistów, ale i dlatego, że ci specyaliści ją dla szczerego czystego celu popierania i posuwania *nauki*, jako takiej, produkują.

Wreszcie powinna być „Książka" możliwie bezstronną: nie powinna rozdawać pochwał ani autorom, ani wydawcom; powinna uczyć, jak autor z zadania swego się wywiązał, czy praca była potrzebną, czy posiada trwałą wartość naukową. Zauważy kto, że taka przedmiotowość jest niedościgniona. Nie przeczymy, że jest. Dążymy do osiągnięcia i niektóre recenzye w pierwszym zeszycie nie pozostawiają pod tym względem nic do życzenia. Może też lepiej ocen nie podpisywać: tej metody trzymają się niektóre pisma zagraniczne „bibliografii krytycznej" poświęcone.

Oto, co mamy nadzieję znaleźć w nowym towarzyszu. Że poświęciliśmy mu tyle uwagi, dowód, jaką wagę przypisujemy jego narodzinom. Czujemy dobrze, że stanęliśmy w zaczarowanem kole „iluzyj." Bylibyśmy szczęśliwi, gdyby nie przyszły rozczarowania.

IDEE EKONOMICZNE A SPOŁECZEŃSTWO POLSKIE.

(Dokończenie)

Wypadki 1831 r. przerwały gwałtownie tak świetnie zapoczątkowany rozwój samoistnej polskiej myśli ekonomiczno-społecznej. Kwiat inteligencyi polskiej wyszedł za granicę. Tam jedni, jak Wołowski, wsiąkli niemal zupełnie w obce społeczeństwo. Inni w dalszym ciągu wyłącznie dla Polski pracowali; gdy jednak został zerwany związek między kształtowaniem się idej ekonomiczno-społecznych społeczeństwa polskiego a kierunkiem polityki ekonomicznej do społeczeństwa tego stosowanej, sprawy i zagadnienia narodowo-gospodarcze już to z punktu ich tylko krytyki, mającej na celu uszlachetnienie duchowe narodu, lub też wedle kryteryum czysto politycznego traktowali. Tak powstała na emigracyi literatura filozoficzno - społeczna, podrozdział ogólno-filozoficznej stanowiąca: Hoene Wroński: „Lettre aux Nations Slaves," „Economie politique et finances"; Trentowski: „Humanistyka" (II część Panteonu Wiedzy ludzkiej) oraz liczna nader literatura społeczno-polityczna, przeważnie kwestyi włościańskiej dotycząca. Dla dalszego rozwoju u nas nauki gospodarstwa narodowego jedna jak druga nie wiele przyniosła. Polityczna jednak literatura emigracyjna oddziałała bardzo silnie na rozwój demokratycznych w Polsce pojęć na wyjaśnienie kwestyi włościańskiej, posuwając ją o olbrzymi krok naprzód. Towarzystwo demokratyczne bowiem po raz pierwszy o uwłaszczeniu poczęło mówić, gdy przed 1831 r. co najwyżej o oczynszowaniu lub wieczystych dzierżawach myślano. Dyskusye nad rozwiązaniem kwestyi włościańskiej między Zjednoczeniem a Towarzystwem demokratycznem toczone odbiły się silnem w kraju echem. Tomasz Potocki (Krzyżtopór), Gołuchowski zabierają w niej głos, ostatni w obronie istniejącego stanu rzeczy (Rozbiór kwestyi włościańskiej w Polsce i w Rosyi 1850), pierwszy propagując myśl stopniowego uwłaszczenia włościan (O urządzeniu stosunków rolniczych w Polsce 1851 i Poranki Karlsbadzkie 1858) a Uruski w swej „Sprawie włościańskiej 1858—1860" szczegółową historyę kwestyi tej u nas podaje. Obok tych dzieł na dużą skalę zakrojonych zjawia się też, szczególniej w drugiej połowie szóstego dziesięciolecia, cały szereg drobniejszych rozpraw i broszur *), przeważnie za uwłaszczeniem się wypowiadających. Kwestyą włościańską [illegible] zajmują się nieustannie „Roczniki gospodarstwa krajowego," od 1858 r. organem Towarzystwa rolniczego będące.

Po [illegible] kwestyi włościańskiej w 186[illegible] z porządku dziennego najpilniejsze dotychczas dla społeczeństwa [illegible] społeczno-ekonomiczne. Żadne [illegible] nowe nie wyłoniło się jeszcze przed niem wówczas. Niemniej przeto literatura ekonomiczna polska w okresie od [illegible] znacznie się ożywia. Społeczeństwo straciło wiarę dla dawnych haseł idealistycznych. Młode szczególniej pokolenie, wychowane w Szkole Głównej, odczuwa [illegible] sobie potrzeby wzrastającego wciąż na podstawach, założonych przez Królestwo Polskie w trzeciem dziesięcioleciu, przemysłu, podniosło sztandar pracy organicznej. Wzrosło ogromnie zainteresowanie się pozytywną wiedzą Zachodu wogóle, a więc i ekonomią polityczną. Zjawiają się liczne tłomaczenia ekonomistów niemieckich, francuskich i angielskich, między innemi Roschera i Milla. Pod wpływem tego zwiększonego zajęcia się nauką gospodarstwa narodowego, wydaje też Skarbek w 1860 r. po długoletniem milczeniu spolszczenie swej „Théorie des richesses sociales" pod tytułem „Czyste zasady nauki gospodarstwa narodowego." Pojawia się też Supińskiego „Szkoła polska gospodarstwa narodowego" 1862—1865, w której ruch pracy organicznej potężny oręż znajduje. Supiński należał do emigracyi. Wkrótce się jednak od niej usunął i żył życiem wyłącznie francuskiego społeczeństwa. Myśl jego skierowywała się wciąż ku Polsce, lecz nie mając bezpośredniej z nią łączności, wchłaniał w siebie nieustannie idee francusko-mieszczańskiego otoczenia swego, marząc jeno, by i jego naród mógł dojść do tego stopnia zamożności i dobrobytu, co francuski. Z marzeń tych wyrósł jego system. Nazwał on go „polską szkołą." Naprawdę był on raczej francusko-amerykańskim, niż polskim. Supiński, jako typowy samouk, nie znał wogóle poprzedniej literatury, a szczególnie polskiej. Nie nawiązał on też z nią w systemie swym żadnych węzłów. Natomiast wytworzył sobie ogólny pogląd fizyologiczny i socyologiczny z materyałów, zaczerpniętych z kursujących wówczas we Francyi idej: monizmu mechanicznego i organizmu społecznego, i na tle tego socyologicznego poglądu zbudował system nauki gospodarstwa społecznego, mocno Bastiatowską teoryę harmonii społecznej przypominający.

System ten w stosunku do Skarbkowskiego nietylko nie stanowi postępu, lecz przeciwnie cofnięcie się raczej oznacza. Powraca on do dawnego absolutyzmu klasycznej ekonomii, który Skarbek tak szczęśliwie i wcześniej od ogółu europejskich pisarzy był odrzucił. Na wzór też francuskich ekonomistów stanowi on przyrodnicze prawa gospodarstwa społecznego, gdy nietylko Skarbek, lecz i poprzednio jeszcze Kołłątaj, Staszic psychologiczny i moralny charakter społeczeństw, oraz różność praw życiem ich kierujących od praw przyrody pojmowali. Z wielkim wszakże talentem napisany, przepełniony licznemi publicystycznemi wycieczkami o szczerze demokratycznym charakterze, zyskał sobie system Supińskiego większą od jakiegobądź innego popularność, szczególniej w obozie pracy organicznej, któremu jakby prosto z serca mówił. Obok „Szkoły polskiej gospodarstwa społecznego" przeszły niepostrzeżenie niemal: monografie Marassego, Oczapowskiego, Załęskiego, Wzdulskiego, Makowieckiego, „Ekonomia polityczna" Grabowskiego, „Wykład zasad ekonomii społecznej" Zaranskiego. Pisma te pomniejsze wszakże wraz z coraz liczniejszymi artykułami ekonomicznymi w *Bibliotece warszawskiej*, *Ateneum*, *Przeglądzie tygodniowym*, *Niwie* i specyalnem pismem ekonomicznem (*Ekonomistą*) dowodzą coraz intensywniejszego życia ekonomicznego kraju i wzrastającego interesu dla zagadnień naukowo-gospodarczych.

Sposób jednak, w jaki społeczeństwo polskie w epoce tej kwestyami narodowo-gospodarczemi się zajmuje, mocno się różni od tego, jak narody zachodnio-europejskie tego czasu zajmują się niemi, a i nasze przed rokiem 1831 się niemi zajmowało. Nie dąży ono do wytworzenia swego systemu gospodarstwa narodowego, bo brak mu ku temu środków. A więc i nie stara się ono o teoryę całokształt zjawisk ekonomicznych tłomaczącą, ani też o narodowy system polityki ekonomicznej. Chce ono tylko wiedzieć, co się koło niego dzieje i jak inne narody życie swe ekonomiczne urządzają i tłomaczą. Cała nasza ówczesna literatura ekonomiczno-społeczna, to recenzye już to literatury zagranicznej, już to pewnych szczegółowych przejawów naszego życia gospodarczego. Takiż charakter noszą i doskonale ze stanem europejskiej wiedzy ekonomicznej zapoznające podręczniki Dunajewskiego („Kurs ekonomii politycznej," 1872) i Bilińskiego („Wykład ekonomii społecznej," 1870, oraz „System nauki skarbowej," 1876).

Recenzyiną tę literaturę w drugiej połowie dziewiątego dziesięciolecia, gdy wobec coraz większego rozwoju przemysłu stosunki nasze społeczne w identyczny niemal sposób jak na Zachodzie się ukształtowały, wypełniają ożywione nad kwestyą robotniczą, sprawą drobnego przemysłu i włościańską dyskusye. Początkowo prowadzony o słuszność tych czy innych socyologicznych teoryj zachodnio-europejskich gołosłowny dość spór pchnął nas w ostatniem dziesięcioleciu na tory więcej samoistnych studyów nad kwestyą społeczną. Lecz po dziś dzień studya te dały zaledwie pewną ilość drobniejszych broszur, oraz parę opracowań genezy historycznej dzisiejszego naszego stanu społeczno-gospodarczego, mianowicie historyi wielkiego przemysłu w Królestwie (Radziszewski, Koszutski).

Niezależnie zupełnie od tej linii rozwojowej zjawiło się co prawda w ostatnich dwóch dziesięcioleciach i parę oryginalnych prac teoretycznych, jako znakomity system socyologii Gumplowicza i Heryngа „Logika ekonomii politycznej." Są to wszakże sporadyczne czysto zjawiska, które nie wyrosły z ogólnego kierunku ekonomiczno - społecznej myśli polskiej,

*) A. Ludwig: „Kilka myśli względem urządzowania kwestyi włościańskiej w Polsce 1858." W. Garbiński: „Listy o właściwem u nas stanowisku kwestyi włościańskiej 1858." R. Strojnowski: „O dzierżawach i oczynszowaniu majętności ziemskich 1857." Kozakowski: „O kwestyi włościańskiej w Kr. Pol. 1859." Wielogłowski: „O potrzebie banków rolniczych 1860." Lipiński: „Rozwiązanie kwestyi oczynszowania włościan w Król. Pol. i w Rosyi 1861" itd.

ani też na rozwój ten silniej oddziałały. Znajdujemy się wciąż jeszcze w epoce uczenia się od Zachodu, szukania poomacku właściwej drogi. Nić rozwojowa, przerwana w 1831 r., nie została dotychczas nawiązana.

Dr. Stanisław Grabski.

LITERATURA I SZTUKA.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Stanisław Kozłowski: *Dyana*, komedya obyczajowa w 4 aktach. — Wznowienie.

Autor „Alberta wójta“ i „Taborytów,“ wyzbywszy się w najnowszej swej sztuce koturnów i maski tragicznej, wystąpił z czteroaktową komedyą obyczajową, napisaną zresztą, jak i poprzednie jego utwory, trzynastozgłoskowym wierszem rymowanym i osnutą na tle bezmyślnie-hulaszczego, pełnego awanturek miłosnych i pogoni za błahostkami żywota warszawskiej „śmietanki“ towarzyskiej w pierwszych latach ubiegłego stulecia.

Ta część „krytyki“ naszej, która, oceniając dzieło sztuki, mówi najchętniej o tem, czego w niem niema i być nie miało, a coby, zdaniem jej, być powinno, zarzuca utworowi p. Kozłowskiego różne rzeczy, a między innemi brak „wypadków,“ które jakoby miał zapowiadać akt pierwszy, a dalej niedostateczne, według niej, zaznaczenie walki nowych prądów z dawnymi i — od początku do końca — wypełnienie komedyi *przygnębiającym* obrazem „sarabandy, którą z ohydną bezmyślnością lub ohydniejszym jeszcze cynizmem tańczyły wśród powszechnej żałoby przodujące warstwy w narodzie.“ Rozumiemy, że obrazek taki może, istotnie, niezbyt przypadać do gustu pewnym organom naszej prasy, zwłaszcza, że niektóre z trafnie podchwyconych w nim rysów obyczajowych dałyby się słowo w słowo zastosować i dzisiaj do tej samej warstwy, nie społecznej nawet, lecz towarzyskiej, która, mimo wątpliwej wartości umysłowej i moralnej większości swych przedstawicieli, wciąż jeszcze odgrywać usiłuje jakąś przodującą rolę, i to, niestety, nietylko na torach wyścigowych, w buduarach cyrkówek, domach gry i tym podobnych arenach popisów publicznych... Lecz ten punkt wyjścia w ocenie dzieł sztuki łatwo zaprowadzić może na manowce panów sprawozdawców teatralnych, zbyt wrażliwych na krytykę fałszowanej śmietanki towarzyskiej. Gdzież bowiem ostatecznie znaleźć kres tego, co autor *mógł był* odtworzyć w dziele artystycznem, a czego odtwarzać *nie chciał?*

W danym razie aspiracye pisarskie p. Kozłowskiego nie sięgały, jak się zdaje, zbyt daleko. Chodziło mu jedynie o namalowanie satyrycznego obrazka warszawskich stosunków *salonowych* na progu XIX wieku, oraz o skreślenie w przelotnej sylwetce sympatycznej postaci, nazwanej w sztuce księciem Jerzym, w dobie jej chwilowego upadku i braku przed oczyma celów wyższych, kiedy to, mówiąc słowami bohatera, „często, by smutek zgłuszyć, śmieję się wesoło, gdyż czuję, żem wtrącony przez los w błędne koło, miłość, jedyna miłość daje ukojenie.“

Rozwiązanie pierwszej części zadania powiodło się autorowi prawie zupełnie. Potrafił on utwór swój, nie mający bynajmniej pretensyi do nadzwyczajnej głębokości, uczynić powabnym, zajmującym i zatrzymać wzrok widza na barwnej wiązance scen i obrazów, świadomie nie dążąc nawet do połączenia ich nicią zbyt zawiłej i ciekawej przez samą treść swą bajki. Tem lepiej. Oklepane efekty komedyopisarzy, przeszkody i intrygi, kończące się na ślubnym kobiercu, mogłyby już dawno otrzymać wysłużoną z okładem emeryturę.

Najlepszy jest niewątpliwie akt drugi, ze szczerze komiczną, a tak niespodziewanie zakończoną sceną handlu fabrykowanymi naprędce przez nadwornego rymopisa Jaksę epigramatami, oraz z wybornie utrzymanym w stylu obrazkiem opowiadania Henryki de la Garde, wielkoświatowej awanturnicy, zwanej Dyaną, a sprowadzonej umyślnie z Wiednia przez stałą „przyjaciółkę“ księcia w celu oderwania jego motylkowego serca od niebezpiecznego, zdaniem tej doświadczonej osoby, stosunku ze szlachcianeczką Krzysią. „Dyana,“ zagadnięta przez zgromadzone w teatrze francuskim damy o nowiny z wielkiego świata, zaczyna opowiadać o strojach; panie słuchają z wybuchami zachwytu, a posłuszni ich skinieniom przyjaciele i powiernicy notują modne kolory sukni i fasony kapeluszy... Przy końcu aktu mamy dobrze pomyślaną rozmowę między księciem a łowczanką, nie domyślającą się jeszcze, że już jest zdradzona przez niego dla „słonecznej“ cudzoziemki.

Akt trzeci na pierwszem przedstawieniu miał miejsca, któreby dla dobra całości wymazać należało ze sztuki. Stosuje się to głównie do obliczonej na wywołanie taniego efektu komicznego sceny z murzynem i do dwu innych, rażących zbyt jaskrawym erotyzmem. Być może zresztą, że autor, idąc za głosem życzliwej części krytyki, usunął już z dalszych przedstawień te rażące dobry smak jaskrawości.

Akt ostatni wydał nam się zbyt rozwlekłym. Brak w nim skupienia i jakiegoś momentu silniejszego, jakiejś może wieści elektryzującej, któraby umotywowała w księciu przebudzenie się dawnego człowieka czynu. Do mniej lub więcej niemiłych scen z wszelkiego rodzaju opiekunami piękności, które swymi względami zaszczycał, był on już chyba przyzwyczajony. Tłumik ten zresztą, dający się uczuć w ostatnich scenach komedyi, mógł tu nie zależeć od autora i jego talentu, który w tej sztuce, w porównaniu z poprzedniemi, wzmógł się niewątpliwie i dojrzał.

Niemniej jednak zaznaczyć musimy, że w drugiej części zadania, za którą uważamy charakterystykę głównego bohatera sztuki, księcia Jerzego, był on, według nas, mniej szczęśliwy, niż w pierwszej. Sylwetka ta, w otoczeniu zwłaszcza takich pełnych życia postaci, jak Henryka i szambelan, takich nawet figur drugoplanowych, jak Jaksa lub Floryan, razi brakiem pogłębienia i bądź co bądź pod wieloma względami, począwszy od wieku, który tu wydaje się zbyt młodym, nie odpowiada pojęciu, jakie wytworzyliśmy sobie o jej pierwowzorze.

A nie jest to winą p. Śliwickiego, który w wykonanie roli księcia wlał dużo zapału i inteligencyi, powstrzymując płaczliwą deklamacyjność, która mu szkodzi niekiedy. Postać ta w jego grze jest w każdym razie ciekawa i prawdopodobna, tylko że nie może być taką, jakąbyśmy widzieć pragnęli. Z innych artystów, występujących w sztuce, na podniesienie zasługuje w pierwszym rzędzie świetna gra pani Lüde i pana Frenkla — w rolach Henryki de Lagarde i dziecinniejącego już, a nie przestającego uganiać się za miłostkami szambelana. Bardzo dobrym stryjem zakochanej w księciu łowczanki, szlachcicem kontuszowym w dawnym stylu, był p. Szobert, artysta z doskonałymi warunkami i poważnym talentem, marnujący się potrzoszę w rolach drugorzędnych. Sympatyczną postać jego synowicy odtworzyła w sposób dyskretny i ujmujący p. Tekla Trapszo. Na dobrą całość złożyli się oprócz wymienionych — panowie: Nowicki, Wolski, Wojdałowicz, Szymanowski, Owerło; panie: Bogusławska, Rutkowska, Irena Trapszo i Czaki. Staraniom reżysera przypisać należy, iż w wykonaniu całości nie raził szczegół żaden. Sztuka zdobyła sobie od pierwszego przedstawienia powodzenie u publiczności, które jej i w dalszym ciągu towarzyszy.

„Dyana“ p. St. Kozłowskiego była pierwszą w tym roku i wieku nowością repertuarową teatru Rozmaitości. O braku nowych sztuk czy trudności ich wystawienia mówi niemało fakt, że komedya nasza, dla załatania dziur repertuarowych, uciec się znów musiała do jedynego w swoim rodzaju majstra do wszystkiego, Wiktoryna Sardou, wznawiając jego dobrych niewątpliwie, lecz znanych i ogranych „Safandułów“; na otwarcie zaś przy ulicy Danielewiczowskiej teatru Nowości, w którym znalazła wygodne pomieszczenie operetka i krotochwila, dano niezbyt nową co prawda, ale zabawną komedyę starego Fredry p. t. „Jejmość burmistrz,“ czyli „Gwałtu, co się dzieje,“ trzymającą się dotąd na repertuarze. A zdawoloby się, że młodych autorów dramatycznych nie brak u nas w tym czasie...

Wł. Bukowiński.

Arnold Böcklin.

(Requiem.)

Smutnie się zaczął dla sztuki wiek XX. W tych dniach w Fiesole pod Florencyą zmarł w 74 roku życia Arnold Böcklin.

Komu nie jest znane to imię? Przez kilka dziesiątków lat łączyło się z niem pojęcie o jednym z największych geniuszów, jakie w długowiecznem swem życiu wydała na świat sztuka. Na to imię przysięgała ona wierność temu—co jest szczytem natchnień—poezyi. Bo w Böcklinie straciła ona największego poetę śród malarzy—barda duszy ludzkiej. Jej głębie bezdenne, obszary bezkreśne, jej melancholię i wesele, uśmiechy i łzy, słońca i ciemnie wyśpiewał w barwach, które są pieszczotą zmysłów. Z nim wtargnął do sztuki współczesnej *duch* (nie — kształt, jak w epoce Renesansu) grecki, pogańsko-wielki, pogańsko-uśmiechnięty czciciel życia, czciciel miłości i piękna... I oto rozigrały się na falach cudnie błękitnego morza nimfy swawolne, potworne trytony, dzikie centaury; tłumy przeszły w cichem skupieniu do świątyni Bachusa; ożyły gaje święte; Charon znów powiózł dusze zmarłych do cichej, tylko poszumem cyprysów szemrzącej wyspy umarłych; rozigrany faun znów śpiewem fletni i dzikim chichotem począł straszyć pasterzy... A na cały ten zmartwychwstały świat spoziera z czystych błękitów uśmiechnięte słońce, a grają światu temu przepyszne, mieniące się perłami, granatowe fale morza, a śpiewają mu pieśni lekkie, dźwięczne zefiry, lub smętne, rozełkane, z głębin nieskończoności lecące szumy...

Czasem brał się duch grecki za ręce z romantyką nowszych czasów i roztaczał długi korowód dziwnie pięknych obrazów... Oto ciężko stąpa wielki kary rumak, niosąc na grzbiecie śmierć. Wyłania się z cieniów i idzie w światło, a za nim wlecze się mrok ciężki i lecą tłumy umarłych, żółtych liści. Na karym rumaku ciągnie ponura śmierć i zmiata z swej drogi słoneczne życie... Oto wyrosły gdzieś w cieniu cyprysów wille samotne, a z morza płynie na nie powiew smutku, zgina wierzcholki drzew i kładzie marmury białe w ciemne objęcia melancholii... Wyrosły

na urwiskach skalnych burgi kamienne, dumne, wielkie, niezdobyte. Lecz opadają je żądni zdobyczy korsarze, i stare zamki płoną, wiatry zwiewają im grzywy ogniste ku niebu, a morze szumi złowrogo jakąś okropną, ponurą balladę... Zbudzili się piękni minstrele i w dni wiosenne śpiewają śród pól jasnych pieśni wiosenne; a wkoło śmieją się łąki, śmieją się kwiaty, rozsiane ręką Flory, i szemrzą srebrzyście strumyki... A oto sadzą w przestworzach na rozjuszonych potwornych rumakach pożoga, zbrodnia i śmierć. Kędy przelecą, idą za niemi w ślad klęski, mór i głód, hańba i śmierć, zostają po nich tylko zgliszcza i trupy. A one sadzą na swych strasznych rumakach w dal do niewiadomego celu... Wielki świat, bajeczny świat! Tak piękny i nieskończony, że aż dziw bierze, jak mógł się w jednej piersi ludzkiej pomieścić? Pomieścił się, bo pierś to ogromna, bo w piersi tej żyło to, co jest największego i najpotężniejszego na ziemi — geniusz...

Hen daleko, pod jasnem niebem włoskiem, nad martwem ciałem artysty siadła w rozpaczy Sztuka... Okryła się cała grubym czarnym welonem, aby nikt nie widział jej dumnych łez, aby nikt nie widział, jak łamie w rozpaczy ręce nad świętymi zwłokami wielkiego syna...

Michał Mutermilch.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POEZYE. Bukowiński Wład: „Nowy zeszyt,“ str. 80. J. Fiszer, c. 75 kop.

— Daniłowski Gustaw: „Na wyspie.“ Poemat, str. 71. Demby, c. 1 rb.

— Lermontow: „Demon,“ str. 51, c. 25 k. „Anioł śmierci, “str. 29, c. 20 k. Przekł. A. Wroblewskiego. Sadowski.

— Nietzsche Fryderyk: „Tak mówił Zaratustra,“ tłóm. Marya Cumft i St. Pieńkowski, str. 118. Okręt.

— Ruskin: „O prawdziwej kobiecie,“ tł. J. Jankowski. Paprocki, str. 93, wyd. II.

POWIEŚĆ. Orzeszkowa Eliza: „Chwile„ (zbiór nowel), str. 322. Gebetchner i Wolff.

— Przybyszewski Stanisław: „Homo sapiens — Na rozstaju,“ str. 223. Lwów. Księg. polska.

POEZYE

Bóg lasu.

Bóg lasu w wyzłocone, uśmiechnięte rano
Idzie rosistą trawą i młodą polaną.
Pod stopami mu dzwonki i konwalie rosną,
Drzewa śmieją się słońcu, ziemia pachnie wiosną...
Idzie młodą polaną, pełną piersią śpiewa,
A za nim grają kwiaty, paprocie i drzewa.

I tak perłowe dźwięki w jego ślady biegą,
A on obchodzi krańce królestwa swojego —
I każe młodym sosnom, by pachniały cudnie —
I rozkazuje fiołkom kwitnąć na południe,
A obłokom puszystym i bielszym od piany
Wisieć, jak jasny żagiel złotem przetykany.

Idzie bóg jaśniejący, wiekuiście młody —
Promienny blaskiem oczu i cudem urody.
Idzie pod zadumane jodłowe arkady,
A jego boskim kształtom dziwią się dryady,
Pokazując przez drżących gałęzi osłonę
Swoje różane piersi i włosy zielone.

Idzie bóg, zapatrzony w słońca złotą łunę,
A wiatr mu rozwiał z czoła włosy jasnorune.
Przez zapłątane gąszcze, przez głuche parowy,
Przez sośniane kolumny i przez gaj dębowy—
Idzie przez wrzosy leśne, przez mszyste rozchwieje —
Idzie—i kwiaty białe sieje, sieje, sieje...

Władysław Sterling

O prawdę.

Niema prawie pisma w Warszawie, któreby przynajmniej raz do roku nie zamieściło artykułu o trudnościach, jakie napotykają ludzie, potrzebujący pomocy lekarskiej w wypadku nagłym. I rzeczywiście łatwo sobie wyobrazić położenie człowieka, któremu ktoś z blizkich nagle zachorował. Nie wiedząc, jak choremu pomódz, miotany niepokojem, że nad chorym zawisło może niebezpieczeństwo groźne, wypada on z domu i leci ulicą, wypatrując tabliczki lekarskiej na bramach domów. Zazwyczaj trzeba wtedy oblecieć parę ulic, wpadać na rozmaite piętra i zwiedzić kilka, a czasami kilkanaście nawet mieszkań lekarskich, zanim się lekarza wreszcie znajdzie, zdarza się często, o ironio, że tym lekarzem jest jakiś specyalista, który akurat do danego wypadku najmniej się kwalifikuje.

Pogotowie Ratunkowe, które powstało w Warszawie 1897 r., w pewnej części palącej potrzebie zaradziło. Celem Towarzystwa doraźnej pomocy lekarskiej jest (§ 1) „udzielanie bezpłatnej doraźnej pomocy lekarskiej w wypadkach nieszczęśliwych, zdarzających się na ulicach, we wszystkich miejscach publicznych, w fabrykach, zakładach, na kolejach żelaznych itp. w obrębie Warszawy.“ Uwaga do § 1: „Udzielanie pomocy lekarskiej w przypadkach *nagłych* w mieszkaniach prywatnych *nie wchodzi* w zakres działalności Towarzystwa.“

Już w pierwszym jednak roku swego istnienia Pogotowie musiało *przekroczyć* ustawę i wydać dla swych lekarzy instrukcyę, że należy jeździć do chorych w mieszkaniach prywatnych w wypadkach grożących życiu chorego.

Pomoc lekarza pogotowia jest zawsze doraźną tylko i Polega na zastosowaniu jakiegoś środka natychmiastowego lub też na przewiezieniu chorego do szpitala lub zakładu leczniczego. Rzecz prosta, pozostaje jeszcze cały szereg przypadków i zachorowań, gdzie szybka pomoc lekarska jest niezbędnie potrzebną, a jednak przypadek ten do Pogotowia się nie kwalifikuje. Dość jest przeczytać sprawozdania z działalności Pogotowia, zamieszczane w pismach codziennych, aby się przekonać, w ilu to wypadkach Pogotowie pomocy swej odmawiać musi.

We wszystkich większych miastach zagranicznych oprócz instytucyj, działających na wzór Pogotowia warszawskiego, istnieją organizacye, ułatwiające publiczności znalezienie lekarza w wypadkach nagłych. W Paryżu np. zarząd miejski zorganizował pomoc lekarską w ten sposób, że lekarze dyżurują kolejno w swoich mieszkaniach i wezwani do chorych otrzymują wynagrodzenie od miasta (10 franków za każde wezwanie).

U nas niepodobna marzyć, aby miasto zajęło się zorganizowaniem pomocy lekarskiej dla swych mieszkańców; toć nawet taka instytucya par excellence miejska, jak Pogotowie, musi pukać do ofiarności puplicznej. Zresztą przy tym poziomie kultury, który cechuje publiczność warszawską, gdyby miasto nasze na wzór Paryża wzięło na siebie wynagrodzenie lekarzy, bezpłatne wezwania byłyby tak częste, że mogłoby nie starczyć wszystkich dochodów miejskich na opłatę honoraryów lekarskich

Potrzebę ułatwienia publiczności znalezienia lekarza odczuli i sami lekarze

Dr. Zweigbaum proponował założenie towarzystwa z pośród lekarzy, którzyby płacili pewną składkę roczną, aby uwolnić się od wezwań w nocy, za pieniądze zaś te proponował zorganizowanie dyżurów lekarskich. Projekt ten nie zyskał uznania. Przed paru laty z inicyatywy lekarzy młodych powstały dyżury lekarskie w paru aptekach warszawskich. Dyżury te jednak posiadały parę wad kardynalnych: zorganizowali je lekarze młodzi, bez zasobów. wybrano więc kombinacyę z aptekami pod każdym względem niedogodną, ale nie wymagającą żadnych nakładów, nie zaopatrzono się w dostateczną ilość narzędzi, po za tem dyżurowano nieregularnie i tylko wyłącznie w nocy.

Przed miesiącem otwarto przy ul. Chmielnej „Stałą pomoc lekarską.“ Inicyatywa tym razem wyszła od lekarzy doświadczeńszych, mających co najmniej kilkoletnią praktykę szpitalną. Nowe te dyżury zorganizowano z dość znacznym nakładem: wynajęto specyalny lokal, urządzono wzorową salę operacyjną, zakupiono w dostatecznej ilości wszystkie narzędzia chirurgiczne i środki lekarskie podręczne, zaprowadzono telefon, aby umożliwić publiczności szybkie wezwanie lekarza, zapewniono sobie pomoc specyalistów i przyjęto na dyżurujących tylko tych z kolegów, którzy posiadają dość doświadczenia, aby sobie w każdym wypadku poradzić umieli

Wszystkie pisma nasze lekarskie i nielekarskie powitały sympatycznie powstanie nowej instytucyi, rozumiejąc doskonale jej potrzebę i pożyteczność dla ogółu mieszkańców, a pisma codzienne oprócz tego zaczęły zamieszczać codzienne sprawozdania z działalności „Stałej pomocy lekarskiej.“ Czy takie ogłaszanie w pismach sprawozdań z działalności tej nowej organizacyi jest „poniżającą godność lekarską“ reklamą, czy też tylko informowaniem czytelników o istnieniu i funkcyonowaniu instytucyi, która każdemu mieszkańcowi Warszawy przydać się może?

Lekarze „Stałej pom. lek.“ nie oznaczyli taksy za poradę i pomocy swej nie odmawiają nigdy, to też przeglądając książkę wezwań tej instytucyi, znajdziemy tam i pewną ilość porad udzielonych po 50, 30 kop., a nawet i zupełnie bezpłatnych. Rzecz prosta, lekarze „Stałej pom. lek.“ nie mogą bawić się w filantropię, zresztą społeczeństwo nie miałoby prawa wymagać tego od nich, gdyby to nawet byli sami potentaci pod względem finansowym. Jak dotąd, za godzinę pracy w „Stałej pom. lek.“ wypada lekarzowi 10—15 kop. wynagrodzenia. A teraz zapytuję bezstronnych ludzi, czy pisma nasze, informując ogół mieszkańców o działalności pożytecznej instytucyi, czynią źle i czy lekarze „Stałej pom. lek“ „poniżają godność lekarską,“ zgadzając się na to? A jednak zarzut taki spotkał nas najniespodzianiej od autora artykułu „Medycyna a reklama“ w nr 2 *Prawdy*

I Pogotowie w początkach swej działalności spotykało się z ostrą krytyką szczególniej wśród lekarzy, którzy zarzucali tej instytucyi, że odbiera chleb lekarzom wolnopraktykującym. Jestem najmocniej przekonany, że i „Stała pomoc lekarska“ wywalczy sobie należne uznanie u wszystkich.

Lekarz „Stałej pomocy lekarskiej we dnie i w nocy.“

Do odpowiedzi powyższej muszę dodać kilka słów wyjaśnienia: 1) Niepotrzebnie autor repliki dramatycznie opiewa losy mieszkańców miasta, poszukujących lekarza, oraz w tylu słowach dowodzi pożyteczności instytucyi „Stałej pomocy,“ gdyż artykuł nasz bynajmniej jej nie kwestyonował. 2) Niepotrzebnie również usprawiedliwia się z tego, że członkowie „Stałej pomocy“ pobierają opłatę za poradę, gdyż nikt od nich filantropii nie wymagał. 3) Niepotrzebnie także, zestawiając instytucyę swoją z Pogotowiem, wyraża przypuszczenie, jakobyśmy występowali w obronie zagrożonego bytu lekarzy wolnopraktykujących. 4) Występowaliśmy nie przeciwko samej instytucyi „Stałej pomocy,“ ale przeciwko formie informowania ogółu o jej działalności w sposób taki, że zanikała różnica pomiędzy instytucyą społeczną a prywatną, płatną a bezpłatną. „Pożytecznym“ jest każdy lekarz: wielu z nich udziela często porad bezpłatnie, a jednak żadne pismo nie zamieściło nigdy informacyi: „Dr. X. przyjął wczoraj tylu a tylu chorych.“ Życzymy „Stałej pomocy“ uznania i rozwoju, ale ponownie protestujemy przeciwko temu, co jeden z członków jej nazywa delikatnie „zgadzaniem się,“ aby pisma warszawskie w wiadomy sposób informowały publiczność o działalności *prywatnej* instytucyi.

„Porachunki“ z p. Sygietyńskim za jego „porachunki“ *)

Jakkolwiek artykuł ten pisany jest z powodu mojej osobistej sprawy, nie jest napisany *pro domo mea*. Owszem, wiem, że mnie osobiście zaszkodzi on w najwyższym stopniu, że za niniejsze wystąpienie w pewnym szerokim odłamie naszej prasy będę potępiony z góry i na wieki, smagany za każdą moją przeszłą i przyszłą pracę bez litości. Nie powstrzymuje mnie to jednak zupełnie. Nie występuję bowiem w obronie tej skromnej mojej pracy literackiej, jaką jest przekład *Romantycznych* Rostanda, - gdyby tak było, nie byłbym czekał z surową odprawą tak długo; ale uważam, że czas już jest wystąpić z protestem przeciw bandytyzmowi, który pod pozorami krytyki rozwielmożnia się w naszej prasie, i uważam, że maleńka ilustracya panujących u nas obyczajów z dziedziny moich osobistych doświadczeń rzuci promień światła na wstrętne śmietnisko, nagromadzone w zakulisowych kurytarzach naszej prasy; mniemam nadomiar, że, otwierając ogółowi oczy na te trudności, z któremi wypada walczyć u nas każdemu mało znanemu lub wcale nieznanemu autorowi, oraz podważając zaufanie względem niektórych „naszych znanych“ krytyków, spełniam obowiązek obywatelski; Może wystąpienie moje będzie przestrogą na przyszłość, zmusi do większej ostrożności i posłuży za pancerz dla tych młodych pisarzy,

*) Jakkolwiek z zasady nie zamieszczamy polemik, do których *Prawda* nie dała powodu, udzielamy miejsca p. Belmontowi, gdyż pismo zainteresowane, do którego się zwracał, obrony jego drukować nie chciało. (*Red*).

którzy, nie należąc do kółka wzajemnej adoracyi i do stowarzyszenia wzajemnego ubezpieczenia od krytyki, służą za przedmiot szykany i urągowiska!

Przystępuję do rzeczy. W pewnej chwili mojego życie popełniłem „zbrodnię". Umiłowawszy wspomniany wyżej piękny utwór Rostanda, pozwoliłem sobie przyswoić go naszej literaturze, jakkolwiek... o zgrozo! nie należałem do kółka wzajemnej adoracyi. Skutki tej „zbrodni" stały się dla mnie fatalnymi. Ten sam przekład, który w swoim czasie tak pochlebnie oceniony został przez *Prawdę* i *Głos*, ściągnął na mnie gdzieindziej pioruny krytyczne. *)

Przedewszystkiem niejaki p. Wł. Tr., współpracownik *Gazety Polskiej* „od sprawozdań" z targu węglowego (i w tej gałęzi znakomity), pochwaliwszy „stylową" wystawę sztuki w drewnianej budzie w Bagateli i „arcywytworną" grę wszystkich bez wyjątku artystów, poczuł, że powinien „na kimś się przejechać". Wybrał w tym celu nie mającego „firmy" i „marki" w prasie tłómacza i smagnął go w trzech słowach za „wadliwe, bo *niegramatyczne* „rymy". A dowód? Przytoczono jeden. *tego stada*. Ponieważ w przekładzie raz tylko użytem zostało słowo „stado", a mianowicie: „owiec stado" w 4-ym przypadku i wyraz ten rymuje się tam ze słowem „szpadą" w wielkiej mojej ówczesnej naiwności zwróciłem się do Redakcyi ze skromną i chyba *naturalną* prośbą o „sprostowanie".

Otrzymałem w odpowiedzi list, który treścią swoją poprostu zdumiewa. Ten drogocenny klejnot ze skarbca obyczajów naszej prasy przesyłam w załączeniu do Redakcyi *Prawdy*; na tem zaś miejscu cytuję go dosłownie: „Szanowny Panie! Tak się właśnie zdarzyło, że mam w Redakcyi rękopis pańskiego przekładu *Romantycznych*. Sz. Pan pozwoli mi powiedzieć, że istotnie w przekładzie tym są *usterki*. Sprawozdawca nasz nie mógł się wdawać w liczne cytaty; wyraził tylko wrażenie swoje ogólne. Sądzę też, że *lepiej będzie sprawy tej nie poruszać, bo gdyby Sz. Pan chciał bronić swego przekładu, my musielibyśmy bronić naszej opinii o nim*."

Oto „przyjacielska" rada redaktora, którego prosi się o zwyczajne *sprostowanie* fałszywej cytaty! Rada, poparta wymowną *groźbą musu bronienia swojej opinii!* Charakterystycznem jest to wskazanie, że w przekładzie są „usterki," podczas gdy sprawozdawca *Gazety* ryczałtowo potępił przekład, jako stojący niżej wszelkiej krytyki.

Oburzony, chciałem zaprotestować w innej gazecie przeciw fałszowi. Człowiek, zajmujący wysokie stanowisko w naszej literaturze, odradził mi wówczas podnoszenia gwałtu z powodu „kłamstwa, spłodzonego przez jakiegoś lichego reporterzynę." Czułem przytem, że sprostowanie, które nie dojdzie do czytelników *Gazety polskiej*, chybi celu. Uciekać się do przymusu, za pośrednictwem cenzury, uważałem za niestosowne: sprawa *moja* była dla mnie zbyt drobną. Poprzestałem tedy na satysfakcyi moralnej: przy spotkaniu osobistem Redaktorowi *Gaz. polsk.*, nawiasem mówiąc, szanowanemu przeze mnie twórcy *Larika* i autorowi nader pochlebnego dla mnie niegdyś rozbioru powieści mojej w *Bibl. warsz.*, wyraziłem zdziwienie z powodu treści jego listu, zaznaczyłem, że po zbliżającem się przedstawieniu mojego przekładu *Romantycznych* na deskach teatru Rozmaitości oczekuję oceny „bez fałszywych cytat" i dodałem, że nie bronię się nie przez obawę, ale dlatego, że odradzono mi spór „z powodu kłamstwa, spłodzonego przez jakiegoś lichego reporterzynę."

Nieostrożność ta, której jednak nie żałuję i dzisiaj, wywołała łatwy do przewidzenia skutek. Niebawem, po przedstawieniu *Romantycznych* w teatrze Rozmaitości, w *Gaz. polskiej* poczęto „bronić swojej opinii."

Generalnemu krytykowi *Gazety*, p. Sygietyńskiemu, poszło nie w smak ogromne powodzenie *Romantycznych* w przekładzie nieznanego mu i niemiłego *Gaz. polskiej* tłomacza. Wielka ilość przedstawień, zapełniających zawsze szczelnie salę teatralną publicznością, wyrażającą gorąco swój zapał dla sztuki, której cała wartość zasadza się jedynie na *formie*, rozgrzała tylko jego zapał polemiczny. Nadomiar p. Syg. przedewszystkiem zasięgnął informacyj w cyrkule o metryce mojego urodzenia, poczem już z zupełną swobodą jął dowodzić w noworocznym artykule *Gaz. polskiej*, że *aryjskiej woni* poezyi Rostanda tłomacz *Romantycznych* nie był w stanie oddać **). Cała krytyka p. Syg. oparta jest na tem *węchowem* wrażeniu.

*) Przypuszczając z góry, że te pochlebne sądy mieszczą w sobie pewną przesadę, mam prawo mniemać, *że zupełna lichota* nie mogłaby w tych organach wywołać słów pochwalnych. (Por. *Prawda* Nr. 11).

**) Jest to u nas zwyczaj ściśle przestrzegany. *Gazeta warszawska* w Nr. 149 z r. b. poświęciła 30 wierszy dwóm tomom moich poezyj, śród których „jedne są lepsze, inne słabsze," a nie omieszkała odkryć, że „p. Leo Belmont jest zdaje się Żydem, urodzonym na Litwie." Jako urodzony Warszawianin protestuję przeciwko przeniesieniu mojej kolebki.

„Sumienny" krytyk odważył się powiedzieć, że myślę po niemiecku. Ponieważ Niemcy są Aryjczykami, a ja jakoby nie jestem w stanie uchwycić „woni aryjskiej poezyi," — szydło sterczało wyraźnie z worka. I jakież to dowody przedstawił krytyk, rzucając we mnie tak ciężkim kamieniem obrazy. Dwa dowody. Pierwszy, że zamiast prozaicznego „póty—póki," pozwoliłem sobie w mowie wiązanej, usprawiedliwiającej pewne licencye, użyć: „tak długo - póki." I drugi, że użyłem słowa „wszak" nie na początku zdania, ale w środku („to było wszak dla dzieci"), co ma być jakoby przekładem niemieckiego „doch" i sprzeciwiać się kardynalnym zasadom mowy polskiej.

Tymczasem Mickiewicz pisze: „Ten dobry chłopczyna *wszak* to moja na świecie pociecha jedyna" (*Pan Tadeusz*, ks. III). „Z bogiń, która na ziemi młodość zwykła tworzyć, wszakże tę najpiękniejszą córkę wyobraźni najpierwszą zwykła rodzić i ostatnia morzyć" (*Nowy Rok*). „Bo wszak nad tem oddawna dzień i noc boleję" (*Pan Tadeusz*, ks. XII).

A zatem, ażeby zgnębić polskiego tłomacza, p. Syg. odważa się tworzyć własne, w żadnej gramatyce nieistniejące prawidła, swoim krytycznym drągiem zaczepia mimochodem arcymistrza mowy naszej, na którym wszyscy mamy prawo się wzorować, i jednym zamachem robi „Niemcem" wraz ze mną... Mickiewicza! Taką bywa sumienność i wiedza naszych „znanych" krytyków!

Po tej wycieczce przeciwko mojej „niemieckości," p. Syg. z niezmąconą swobodą odsądził mnie od wszelkiej znajomości polskiego języka i jego gramatyki. A jakież to są moje straszne „zbrodnie" przeciw gramatyce? Użyłem wyrazu „murarz" zamiast niepoetycznie brzmiącego „mularz" — tej zbrodni nie zaprzeczam. Zarzucono mi jeszcze, że źle używam zaimków dzierżawczych. A dowody? P. Syg., gdy nie znajduje ich pod rękę, tworzy je. Sfałszował on z najzimniejszą krwią cztery cytaty: „Mam moją dumę," „to żaden interes," „mam mojego ojca," „masz twój pomysł." Dla ocenienia uczciwości p. Syg., jako krytyka, proszę zauważyć, że żadnego z tych wyrażeń, ani zgoła podobnego doń, w przekładzie niema! P. Syg. obrał sobie dewizę: „Spotwarzajcie, spotwarzajcie: zawsze coś pozostanie." Oto i wszystkie „zbrodnie gramatyczne," które krytyk znalazł w mojej pracy. (D. n.).

Leo-Belmont.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Naczelnik Petersburga wydał świeżo następujące rozporządzenie, regulujące organizacyę prostytucyi w stolicy państwa. Domy publiczne zostają przeniesione na krańce miasta. W każdym domu tylko 5 pokojów może być zamieszkanych przez prostytutki, a w każdej izbie może ich mieszkać nie więcej nad dwie. Sprzedaż napojów wyskokowych jest bezwzględnie zakazaną. Emancypacya kobiet publicznych i powrót do życia moralnego jest znacznie ułatwiony. Rozporządzenie powołuje się na rezultaty specyalnej ankiety. Okazało się mianowicie, że w 62 koncesyonowanych domach publicznych 665 znajdujących się tam kobiet miało 250,000 rb. długów (wierzyciel — utrzymujący zakład), z których większa połowa była tylko pozorną. Policya zastosowała tutaj przymus. Długi nieudowodnione zostały skasowane i umożliwiono (sprawozdanie nie wskazuje, w jaki sposób) dłużniczkom spłatę pozostałych sum w przeciągu roku. Co więcej, zmuszono wierzycieli, ażeby $1/4$ zarobku kobiet była wnoszoną do ich książek oszczędnościowych. Po upływie 6 miesięcy uzbierano trzydzieści kilka tysięcy rubli oszczędności. Zaś w ciągu roku 211 kobiet wykreślono z list proskrypcyjnych policyi — w tej liczbie 19 wyszło za mąż, 144 wskutek dobrowolnej umowy, 48 znalazło schronienie w przytułkach dla Magdalenek.

— Podczas pożaru Instytutu patologicznego w Berlinie padła pastwą płomieni część cennych zbiorów antropologicznych Virchowa.

— D. 20 b. m. odbyło się uroczyste otwarcie „Polskiego Domu Narodowego" w Cieszynie.

Prasa. W r. b. zaczął wychodzić tygodnik *Kuryer sosnowicki* w Sosnowcu i *Świat*, tygodnik ilustrowany, w Łodzi.

Koleje i komunikacye. P. minister komunikacyi zatwierdził przedstawienie zarządu dróg żelaznych, dotyczące mianowania kobiet na posady zawiadowców stacyj, lecz tylko na drogach drugorzędnych.

Ruch kobiecy. Z powodu niedawnego otwarcia klubu kobiecego w Wiedniu (pod prezydencyą żony słynnego filozofa prof. Jodla) pisze pewna publicystka austryacka: „Chciałabym ostrzedz przed przesądem często napotykanym śród przedstawicielek nowoczesnego ruchu kobiecego, dotyczącym przeciwstawienia: *my* kobiety — *wy* mężczyźni. Ruch kobiecy dąży do poprawy współżycia społecznego i osobistego — wszyscy tedy myślący mężczyźni są jego wyznawcami. Dlatego też precz z egoistycznem sekciarstwem, w którem giną dalekie widnokręgi, precz z szowinizmem w ruchu kobiecym. Kobiety nie stanowią żadnej kasty, ani klasy, lecz tylko wyobrażają kolosalny ruch masowo-postępowy ludzkości, i toczą walkę emancypacyjną przeciwko wielkim i małym, płodnym i śmiesznym węzłom gordyjskim uniemoralnienia." (*Dokumente der Frauen*).

Zmarli. Józef Brunon Karpiński (77 lat), zasłużony prawnik, b. mecenas, b. obrońca przy b. Radzie Stanu Królestwa Polskiego, człowiek nieskazitelnej czystości obyczajów, wytrwały i niestrudzony pracownik: jego benedyktyńskim wysiłkom zawdzięczamy kilkadziesiąt tomów Jurysprudencyi orzeczeń t. IX departamentu senatu, Izby sądowej i in. Nad grobem podnosił jego zasługi adw. Leszczyński. „Przez zgon K. — mówił on — ponieśliśmy stratę nad wyraz bolesną i niepowetowaną, gdyż na widnokręgu zawodu obrończego nie był on meteorem, co znaczył swą drogę świetnymi a znikomymi blaskami, lecz był gwiazdą, co nie błyszczała, ale nas ogrzewała za życia i z po za grobu jeszcze przysyłać nam będzie ożywcze promienie, wskazujące drogę prawdy i cnoty... Z cichych najcichszy i ze skromnych najskromniejszy nie szukał czczej chwalby i pustego rozgłosu, lecz wytrwale dążył do celu, jaki za zadanie człowieka na ziemi uważał: doskonalić samego siebie, a społeczeństwu być użytecznym. To było przewodnią myślą K., a środkiem do osiągnięcia tych ideałów była — praca. Ona jest treścią i historyą jego żywota i dążył on przez nią nie do zdobywania dostatków, nie do zadośćuczynienia poziomym pragnieniom, lecz owoc jej niósł w ofiarnej dani powszechności, uważał ją za kardynalny obowiązek każdego i wszystkich, a za źródło najczystszej dla siebie samego rozkoszy.. W układy z sumieniem i przekonaniami nigdy nie wchodził, stosując w swem postępowaniu nieugięcie zasadę, jaką wygłosił przed czterema laty na obchodzie swego 50-letniego jubileuszu „lepiej dobrze nie mieć, aniżeli mieć źle."

— Wincenty Choroszewski, b. naczelnik okręgu górniczego w Królestwie Polskiem, członek Rady Górniczej, inżenier wielkich zasług. Urodzony w roku 1845-ym, kształcił się w Petersburgu, praktykę początkową zdobywał w Dąbrowie; w roku 1869-ym został zawiadowcą wielkich pieców w Hucie Bankowej. Projekt prawa górniczego z d. 28 czerwca 1870 r., które tak znaczną rolę odegrało w rozwoju naszego górnictwa, był w pewnej części jego dziełem. Kiedy zakłady Huty Bankowej zostały sprzedane, władze powołały Choroszewskiego do Petersburga. Tutaj pozostawał w departamencie górniczym przy ministerjum skarbu, a następnie dóbr państwa, na stanowisku inż. do szczególnych zleceń, do r. 1883. Cały ten czas delegowany był do spraw górniczych Królestwa Polskiego. W tym okresie pracy wiele razy brał udział w ekspedycyach, mających na celu badania geologiczne, osuszanie błot, lub sztuczne irygacye. Owoce pracy w tym kierunku złożył na Polesiu, w gub. Riazańskiej, na Kaukazie, w gub. Samarskiej, Saratowskiej, w stepach kirgiskich, kałmyckich i krymskich. W roku 1883 Choroszewski otrzymał nominacyę na stanowisko naczelnika zakładów górniczych rządowych w Królestwie Polskiem. Dzięki jego inicyatywie powstała w Dąbrowie Szkoła górnicza, założona w r. 1889 i do końca przez niego zarządzana. Zaniedbana fabryka żelazna w Mostkach w r. 1888 przez niego była napowrót w ruch puszczona i z wielkim dziś pożytkiem pracuje. Przy nim też zwoływane były regularnie zjazdy przemysłowców górniczych Królestwa Polskiego. Wiele pisał w zakresie swej specyalności. Do cenniejszych prac jego należą: O rudach cynkowych w okręgu zachodnim Królestwa Polskiego (1867 r.), O właściwościach węgla kamiennego w zagłębiu dąbrowskiem (1869 r.), Prze-

gląd historyczny i statystyczny rozwoju przemysłu górniczego w Królestwie Polskiem (1874 r.); O wypadkach przy pracy w kopalniach Król. Pol, (1880 roku), Badania geologiczne na Polesiu (1881).

— Władysław Tyrchowski, prof. b. Ces.-Król. Akademii medyko-chirurgicznej w Warszawie, następnie dziekan wydziału lekarskiego b. Szkoły Głównej, wreszcie do r. 1884 profesor uniwersytetu.

— Dr. Klemens Kohler, prezes Izby lekarskiej w W. Ks. Poznańskiem, członek Tow. przyjaciół nauk, archeolog — w Poznaniu

— Ernest Eck, zasłużony prawnik niemiecki, profesor, w Berlinie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Życzliwym z Ostrowca. Za przyjacielskie słowa i życzenia serdecznie dziękujemy. Wytrwałości nam nie zbraknie, gdyż siły do niej czerpać będziemy zarówno z wiary w uczciwość i pożyteczność naszej pracy, jak z zachęty przyjaciół naszego pisma, których dziś już mamy bardzo poważny zastęp. Czasy niebezpieczeństw ze strony korsarstwa literackiego już dla *Prawdy* minęły. Płynie ona dotąd pod wiatr, po morzu często płytkiem i skalistem, ale jej załoga umie już walczyć z temi przeciwnościami i zna swoją drogę dobrze.

Panu E. S. w Siepr. Odpowiedzieliśmy piśmiennie na stacyę Lublin, skąd, jeśli dobrze pamiętamy, odbiera Pan listy.

Panu A. Wojn. w Warszawie. Wybór niezbyt szczęśliwy i przekład słaby.

Panu A. Boż. w Warszawie. Do zwrotu.

Panu Kazimierzowi H. Rzeczywiście opuszczono 4 wiersze.

Panu J. R. w Warsz. Jest pewna zdolność wywoływania obrazów i nastrojów, lecz w tej pierwszej pracy za mało samodzielności, czuć wpływ Przybyszewskiego. Radzimy pracować dalej. Trzeba starać się zrozumieć własne uczucia i znaleźć dla nich odpowiednie miejsce we wszechświecie. Uczuć drobnych i osobistych nie można sadzać na tronie, gdzie oddawna króluje inna *miłość* i inne [illegible].

Żywemu. Należy dużo nad sobą pracować i dużo umieć — a potem dopiero można odważyć się bliźnich uczyć. Nie odmawiamy Panu bynajmniej talentu — być może, że z czasem wyrobi się Pan na literata. Artykuł nadesłany jest zlepkiem ogólników, obiegających prasę europejską pewnej barwy, a czyni on na nas wrażenie, jak gdyby jego autor znajdował się pod wpływem tych właśnie popularyzujących naukę i zużytkowujących ją dla celów publicystycznych miesięczników. Jeżeli tak jest istotnie, należy z metodą tą zerwać zupełnie — czytać „autorów," a nie „komentatorów." Język jest również bardzo niedobry, pełen różnorakich „galicyzmów." Do pracy dalszej zachęcamy serdecznie: każdy artykuł gotowi jesteśmy z przyjemnością odczytać i ocenić.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca **A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Января 1901 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.